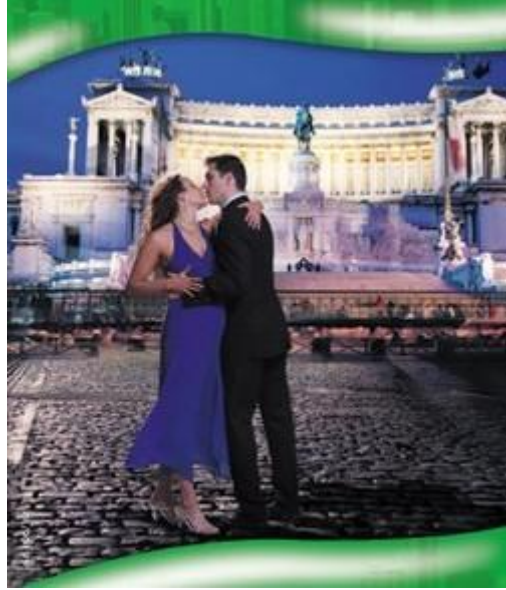




Helen Brooks



Flirt w Londynie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie wierzę, po prostu nie wierzę! Jak mogłaś wystawić za drzwi takiego wspaniałego faceta? Biedny chłopiec. Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, to przyszedłby teraz do mnie, choćby po to, żeby mi się wyplakać w mankiet.

Siedząca na miękkiej sofie obitej kremową skórą Liberty Fox przyglądała się matce spod na wpróżymkniętych powiek.

- Wróć do rzeczywistości, mamó - powiedziała obojętnie. Wiedziała, że tylko obojętność może zirytować Mirandę, dlatego z całych sił trzymała nerwy na wodzy.

- Przede wszystkim Gerard nie jest już chłopcem. Jest mężczyzną, a ponieważ mnie zdradzał, więc zakończyłam tę znajomość. To wszystko.

- Ale przecież przyniósł kwiaty i czekoladki, przeproszał, a nawet obiecał, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Trzeba było dać mu jeszcze jedną szansę. Gerard jest taki przystojny!

- Owszem, jest przystojny - zgodziła się Liberty z tą samą udawaną nonszalancją. - Niestety, nieprzystojnie się zachowuje. Krótko mówiąc, Gerard nieodwołalnie przeszedł do historii. Dla mnie wierność jest bardzo istotna, mamó.

- Nigdy cię nie zrozumie, Liberty. - Miranda pokręciła głową. - Jesteś straszliwie drobiazgowa. Jak twój ojciec.

Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzała sobie w myślach Liberty. Ona mnie prowokuje, chce, żebym zrobiła awanturę.

Wypiła łyk doskonałej kawy. Jej matka wszystko musiała mieć doskonałe, nawet kawę. Tylko córka jej się nie udała, toteż irytowanie jej sprawiało Mirandzie niewysłowioną przyjemność. Wiedziała, że jeśli wszystko inne zawiedzie, zawsze może dopiąć swego, wyrażając się pogardliwie o swym pierwszym mężu, który był ojcem Liberty.

- Jestem dumna z tego, że można mnie przyrównać do taty - powiedziała Liberty z niezmaconym spokojem.

- Nie wątpię. - Miranda wydeła usta jak rozkapryszone dziecko. - Oczywiście ze mną nie należy cię porównywać.

Nie chciała awantury. Nawet drobnej sprzeczki wolałaby uniknąć. I bez tego bardzo cierpiała. Czym innym było pokazywać matce uśmiechniętą twarz, a zupełnie czym innym poradzić sobie ze zdradą Gerarda. Liberty nie rozumiała, jak on mógł spotykać się z inną kobietą, podczas gdy jej samej codziennie deklarował dożgonną miłość.

Dopiła kawę, wzięła z salaterki czekoladkę. Jak nigdy potrzebowała teraz pocieszenia. Dieta nie była w tej chwili najważniejsza.

- Nie jesteśmy do siebie podobne, mamó - powiedziała. - Zawsze bardzo się od siebie różniłyśmy.

- Co racja, to racja - zgodziła się Miranda, a potem zapadła cisza.

Liberty spojrzała na poirytowaną matkę. Miranda wyglądała najwyżej na trzydzieści lat, choć za kilka miesięcy miała obchodzić pięćdziesiąte urodziny. Operacje plastyczne, gimnastyka i ścisła dieta, powodowane obsesyjnym pragnieniem pozostania wiecznie młodą, sprawiły, że twarzy i figury mogłaby jej pozazdrościć niejedna gwiazda filmowa.

Miranda każdemu mężczyźnie umiała zawrócić w głowie. Drobna naturalna blondynka o gładkiej jak porcelana skórze i błękitnych oczach miała za sobą cztery małżeństwa. Aktualnie była w trakcie piątego rozwodu. Po każdym z nich stawała się coraz bogatsza, czego właściwie należało się spodziewać od samego początku. W końcu swego pierwszego męża, ojca Liberty, porzuciła dla bogatego finansisty, a potem już parła naprzód bez przeszkód, jak lodołamacz.

- Muszę zmykać - powiedziała Liberty. - O drugiej mam ważne spotkanie.

Wstała, jej stopy zanurzyły się w puszystym dywanie. Czuła się, jakby brnęła w błocie. Mirandzie bardzo się podobało wielkie mieszkanie piątego męża, wyposażone w meble ze szkła i chromu, z oknami wychodzącymi na Tamizę, natomiast Liberty nie umiała o nim myśleć inaczej niż jako o akwarium. Urządzone z przepy-

chem, ekstrawaganckie i bardzo drogie akwarium, ale tylko i wyłącznie akwarium. Zimne i bez wyrazu nie nadawało się na mieszkanie dla ludzi.

- Pewnie jedna z tych twoich okropnych spraw. - Miranda zmarszczyła śliczny nos.

- Tak, to spotkanie służbowe - przyznała Liberty.

Matka nie mogła jej wybaczyć, że została adwokatem, zamiast znaleźć sobie bogatego męża i prowadzić przyjemne życie bez żadnych obowiązków.

- Co mam powiedzieć Gerardowi, jeśli przypadkiem bym się z nim spotkała?
- Miranda jeszcze raz spróbowała dopiec córce. - To ja cię z nim zapoznałam, więc w pewnym sensie czuję się odpowiedzialna za tego miłego chłopca.

To właściwie powinno wszystko wyjaśnić. Liberty tylko ten jeden raz zdecydowała się spotkać z człowiekiem należącym do towarzystwa Mirandy i proszę, co z tego wyszło.

- Zapytaj go, jak się miewa... - Liberty udała, że szuka w pamięci nazwiska. - Jak się miewa Alexia Lemaire. A gdyby nie mógł sobie przypomnieć, kto to taki, to mu podpowiedz, że to ta młoda dama, z którą zabawiał się w łóżku, kiedy odwiedziłam go bez uprzedzenia.

- Gerard ma gorącą krew - powiedziała Miranda. - Takim mężczyznom zdarzają się romanse, ale one zupełnie nic nie znaczą

Dla niej rzeczywiście były bez znaczenia. Miranda wiele razy była „tą trzecią”, toteż słowo „niewierność” po prostu nie znajdowało się w jej słowniku.

- Do zobaczenia, mamó. - Liberty nie miała ochoty kontynuować tematu. Le-ciotko musnęła ustami oba policzki matki. Był to jedyny objaw czułości, na jaki Miranda zezwalała. - Zadzwoń do ciebie później.

Znalazłszy się na ulicy, wciągnęła w płuca chłodne powietrze. Było w nim mnóstwo spalin, pyłów i zanieczyszczeń, jak zwykle w wielkim mieście, ale w porównaniu z duszną atmosferą przegrzanego i pachnącego mocnymi perfumami

mieszkania Mirandy wydawało się kryształowo czyste.

Odwiedziny u matki zawsze przyprawiały Liberty o mdłości, wywoływały natłok wspomnień i emocji. Dlatego dość długo siedziała w swoim małym fordzie ka, z dłońmi opartymi na pokrytej mięciutką skórą kierownicy. Musiała się uspokoić. Nawet ten samochód, który Liberty sama sobie podarowała pół roku temu z okazji trzydziestych urodzin, nawet to małe autko było przyczyną kłótni z matką. Miranda nie mogła zrozumieć, czemu Liberty zdecydowała się na takie zwyczajne auto, zamiast wybrać sobie jakieś sportowe cacko. Nie docierały do niej wyjaśnienia córki, że właśnie taki samochód chciała, mały, wygodny, którym można by dojechać wszędzie, gdzie dusza zapagnie.

- A ja i tak cię kocham. - Liberty pogłaskała deskę rozdzielczą swojego samochodu.

Włączyła silnik, ale myślami wciąż była przy wystrojonej kobiecie spędzającej całe dnie w luksusowym apartamencie, do złudzenia przypominającym urządzone ze zbytecznym przepychem akwarium.

Autko ruszyło z miejsca. Zanim zdała sobie sprawę, że zapomniała spojrzeć w lusterko, pisk hamulców i trzask łamanej blachy uświadomiły Liberty, że popełniła błąd.

Siedziała jak sparaliżowana. Dopiero po chwili udało jej się zmusić mózg i ciało do reakcji. Otworzyła drzwi. Kierowca eleganckiego i bardzo drogiego szarego mercedesa, który próbował ją wyminąć i teraz tarasował jezdnię, już dawno wysiadł ze swojego auta. Dlatego znalazł się przy niej, gdy tylko Liberty stanęła na drżących nogach obok swego małego samochodzika.

- Nic się pani nie stało? - zapytał.

Nie od razu się zorientowała, że mężczyzna jest młodszy, niż się spodziewała, że zwiody ją siwe pasemka w kruczoczarnych włosach. Popatrzyła w zimne szare oczy tego człowieka i pokręciła głową. Zrobiło jej się słabo.

Zaklął cicho, przytrzymał ją za ramiona.

- Oddychaj - polecił. - Oddychaj głęboko.

Usadził ją bokiem na przednim siedzeniu auta, pochylił jej głowę tak, że znalazła się między kolanami.

Liberty nie miała pojęcia, jak długo siedziała w tej pozycji. Było jej słabo i kręciło się w głowie.

- Przepraszam - wyszeptała, kiedy jako tako doszła do siebie.

Klaksony stojących w korku aut ryczały wściekle, a ten mężczyzna nawet nie drgnął. Przyglądał się Liberty. Jakby wcale nie stali na środku ruchliwej ulicy, nie blokowali jednej z głównych arterii miasta.

- Spokojnie - powiedział cicho. - Nie musimy się spieszyć.

- Ja... Zaraz wycofam na parking - Liberty próbowała jakoś opanować sytuację. - Może zaparkuje pan gdzieś w pobliżu. Zapiszę panu numer swojej polisy.

- Dasz radę prowadzić samochód?

Miał miły głos, głęboki, ale nie chropowaty, tylko leciuteńko przyćmiony.

Liberty uniosła głowę i po raz pierwszy popatrzyła na nieznanomego. Był przystojny. Nie ładny jak jakiś model, ale twardy i surowy, jak dorosły mężczyzna.

Liberty wzięła się w garść. Musiała odpowiedzieć na pytanie, jakie jej postawił.

- Tak, oczywiście, pojedę - powiedziała. - Wystarczy wrócić na miejsce, z którego wyjechałam.

Nic nie powiedział, tylko leciutko unióśł brwi. Miną dał do zrozumienia, co myśli na temat jej umiejętności prowadzenia samochodu.

Nie mogła mieć do niego pretensji, bowiem stłuczka zdarzyła się wyłącznie z jej winy. Nie spojrzała we wsteczne lusterko, choć to przecież jest odruch, coś, co robi się całkiem bezwiednie. Tyle że Liberty tego nie zrobiła.

Cofnęła samochód na miejsce, które dopiero co zwolniła, a potem wysiadła obejrzeć, jakie obrażenia odniosło jej ukochane autko. Mężczyzna z mercedesa musiał bardzo gwałtownie skrócić, żeby nie wbić się w bok jej małego forda, a mimo

to uderzył tak silnie, że nieomal oderwał tylny zderzak, doszczętnie rozbił reflektor i wygiął blachę. Samochodzik wyglądał okropnie.

Liberty miała wielką ochotę się rozplakać, ale się opanowała. Ten mężczyzna uważał ją za zagrożenie dla ruchu drogowego i wołała, żeby nie pomyślał sobie, że jest także niezrównoważoną histeryczką.

Sięgnęła po torebkę leżącą na przednim siedzeniu, żeby wyjąć z niej swoją polisę. Jęknęła zrozpaczona, kiedy się okazało, że polisa została w torebce, którą miała ze sobą wczoraj. Zawsze gdy wybierała się z wizytą do matki, Liberty starannie sprawdzała, czy wszystkie elementy jej stroju pasują do siebie bez zarzutu, a wczorajsza czarna torebka nie wyglądała dobrze z granatowym kostiumem, jaki Liberty miała na sobie dzisiaj. Torebka została w domu wraz z całą zawartością.

Co za koszmarny dzień, pomyślała coraz bardziej zdenerwowana Liberty.

Mężczyzna z mercedesa podszedł do niej. Był o kilka centymetrów wyższy od wszystkich innych przechodniów i... fantastycznie zbudowany.

Liberty nie miała pojęcia, skąd nagle pojawiła się ta myśl i szczerze mówiąc, wołała się nad tym nie zastanawiać. Udała, że szuka czegoś w torebce, jakby wciąż miała nadzieję znaleźć w niej dokument, którego tam nie było.

- Jakiś kłopot?

- Obawiam się, że tak. - Popatrzyła na niego. Tym razem była przygotowana, toteż spojrzenie szarych oczu nie zrobiło na niej takiego wrażenia jak poprzednio. - Zdaje się, że zostawiłam polisę w innej torebce.

Mężczyzna skinął głową. Zrobił to w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że właśnie tego należało się po niej spodziewać. A może Liberty tylko się wydawało?

- Zapiszę panu swoje nazwisko, telefon i numer rejestracyjny auta - powiedziała. - Nie będę się wypierać, że to ja spowodowałam wypadek. Czy pańskie auto jest bardzo uszkodzone?

- Nie - odparł i popatrzył na nią z zainteresowaniem. - Nerozsądnie jest przyznawać się do winy. Czyżby pani o tym nie wiedziała?

- Jestem uczciwym człowiekiem, proszę pana - odparła niezbyt grzecznie, bo tym razem nie udało jej się zapanować nad emocjami. - Do wypadku doszło z mojej winy, więc muszę ponieść konsekwencje własnego gapiostwa. I tak mam szczęście, że nikt nie odniósł obrażeń.

Na twarzy mężczyzny z mercedesa pojawił się przelotny uśmiech.

- W dzisiejszych czasach to naprawdę niezwykle - powiedział.

Miał rację. W swej pracy adwokata Liberty spotykała się z tym każdego dnia. A jednak ten mężczyzna ją niepokoił. Wolałaby się z nim nie spierać. Nigdy. Na żaden temat.

Zagłębiła rękę w torebce i w tej samej chwili przypomniała sobie, że pióro także zostawiła w czarnej torbie, którą nosiła poprzedniego dnia. To było kosztowne złote pióro, prezent gwiazdkowy od Mirandy. Tym razem naprawdę by się przydało. Gdyby je ten okropny człowiek zobaczył, od razu by się zorientował, że Liberty jest kimś i na pewno nie wypadła sroce spod ogona. Niestety, złote pióro zostało w domu. Tak samo jak polisa.

- Nazywam się Blake - odezwał się mężczyzna. - Carter Blake. A pani?

- Liberty Fox - przedstawiła się pośpiesznie.

Uścisk jego dłoni był mocny i zdecydowany.

Kontakt trwał tylko krótką chwilę, lecz Liberty poczuła coś w rodzaju wstrząsu elektrycznego. Jakby prąd przez nią przeszedł.

- Tutaj jest moja wizytówka. - Podał jej niewielki kartonik. - Proszę do mnie zadzwonić później. Teraz nie mam czasu, a chciałbym z panią spokojnie porozmawiać.

- Nie potrzebuje pan mojego numeru telefonu, adresu czy choćby numeru rejestracyjnego mojego auta? - zapytała zdumiona.

- Przecież sama mi pani powiedziała, że jest gotowa ponieść konsekwencje - przypomniał jej ten irytujący człowiek.

- Ależ pan mnie w ogóle nie zna. Może ja pana okłamałam? Może już nigdy

więcej pan o mnie nie usłyszy?

- Wątpię - mruknął, przyglądając się jej z nieukrywanym rozbawieniem.

Z początku zdawało mu się, że to całkiem zwyczajna osoba, ale teraz już wiedział, że się pomylił. Widać, że chciała być stanowcza, ale jej usta i piękne brązowe oczy mówiły całkiem co innego, niż zamierzała pokazać światu. Upinała włosy w ciasny kok, więc trudno było ocenić, jakie są długie, ale że mają kolor miedzi, to było widać.

Miała jasną cerę i gładką skórę. Pewnie byłaby mięciutka i jedwabista, gdyby można jej było dotknąć.

Otrząsnął się z zapatrzenia. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł taki silny pociąg fizyczny do kobiety. Dotąd zawsze panował nad sobą. Miał trzydzieści sześć lat, wiek młodzieńczy już dawno za sobą a wraz z nim niekontrolowane porywy pożądania. A tu nagle taka niespodzianka!

- Zaryzykuję - powiedział. - Jeśli pani do mnie nie zadzwoni, to znaczy, że się pomyliłem, że nie znam się na ludziach. Potraktuję to doświadczenie jako pouczającą lekcję i nie będę miał do pani żalu, ale teraz się spieszę. Umówiłem się na ważne spotkanie i prawdę mówiąc, już jestem trochę spóźniony.

- Dobrze - zgodziła się zaskoczona.

Uśmiechnął się. Najwyraźniej rozbawiła go jej zdumiona mina, a Liberty się wściekła. Na siebie.

Ciekawe, co by było, gdybym nie zadzwoniła, pomyślała. Facet jest taki okropnie pewny siebie! Zdaje mu się, że wszyscy będą tańczyć, tak jak on im zagra.

Dwóch, a może trzech mężów Mirandy ulepiono z tej samej gliny. Liberty była wdzięczna losowi, że jej ojciec jest zupełnie inny.

- Wobec tego wszystko uzgodnione. - Carter Blake uśmiechnął się tym pewnym siebie uśmiechem, który mówił, że jest mu całkowicie obojętne, czy ona zadzwoni, czy więcej się do niego nie odezwie. - Do widzenia pani, panno Fox.

Panno? No, tak. Widocznie zauważył, że nie mam na palcu obrączki.

- Do widzenia - odparła. - Dziękuję, że pan na mnie nie nakrzyczał.

- Co by mi z tego przyszło? - Znowu się do niej uśmiechnął.

Odwrócił się prędko i poszedł do swego mercedesa.

Najpierw się zirytowała. Nie lubiła, kiedy sobie z niej żartowano. Dopiero po chwili przyszło otrzeźwienie. Większość ludzi na jego miejscu zrobiłaby straszną awanturę, a ten pan Blake był miły i całkiem sympatyczny. Więc czemu czuła do niego taką silną niechęć? Właściwie od pierwszego spojrzenia? Przecież zwykle była zupełnie inna. Szczyciła się tym, że potrafi sobie poradzić prawie z każdym. No, może nie z każdym. Z matką, na przykład, nie potrafiła.

Liberty usiadła za kierownicą, westchnęła i zamknęła oczy, żeby się uspokoić. Niestety, nie dane jej było odpocząć ani chwili, bo zaraz zadzwonił telefon. Nie miała ochoty na rozmowy, więc sprawdziła, kto to, zanim zdecydowała się odebrać połączenie. Ale to był jej tata, jedyna osoba, z jaką miała ochotę w tej chwili porozmawiać. Tata zawsze był dla niej oparciem, pocieszycielem i najlepszym ze wszystkich przyjaciół.

Liberty miała trzy lata, gdy Miranda porzuciła swego pierwszego męża oraz jedyne dziecko dla pewnego obiecującego finansisty. Od tamtej pory ojciec sam jeden wychowywał swoją córkę. Mimo że był wziętym lekarzem, zawsze miał czas dla Liberty, zastępował jej matkę i zrobił wszystko co w ludzkiej mocy, żeby dziecko nie czuło się opuszczone i całkiem się nie zagubiło. Ani razu przez te wszystkie lata nie dał do zrozumienia - czynem ani nawet słowem czy gestem - że Liberty stanowi dla niego jakiś kłopot, obciążenie, że w czymkolwiek mu przeszkadza.

- Cześć, tato - powiedziała, z trudem hamując łzy.

- Cześć, Ptysiu. - Głos ojca był jak balsam dla dręczonej duszy Liberty. - Nie miałabyś ochoty zjeść kolacji ze swoim starym ojcem?

- Dzisiaj? - zdziwiła się Liberty.

Co niedzielę wpadała do ojca na obiad, przygotowany przez gosposię. Pani Harris była ponurą kobietą o złotym sercu; ona także miała swój udział w wychowaniu małej Liberty. Ale dzisiaj był czwartek, nie niedziela.

- Bardzo chętnie - powiedziała. - Przed chwilą rozbiłam samochód i spotkanie z tobą będzie dokładnie tym, czego najbardziej mi potrzeba.

- Nic ci nie jest? - spytał zaniepokojony ojciec i Liberty znów zachciało się płakać.

- Nie, nie, wszystko w porządku - zapewniła go prędko. - To tylko drobna stłuczka. Z mojej winy. Nie spojrzałam w lusterko i jakiś biedny człowiek wjechał mi prosto w zderzak. Nie zrobił mi awantury i nawet był bardzo miły. Pamiętasz, że miałam dzisiaj spotkanie z mamą?

- No tak - ojciec w lot zrozumiał sytuację. Doskonale wiedział, jak bardzo te wizyty wytrącały jego córkę z równowagi.

- O której mam być u ciebie? - spytała Liberty.

Tym razem postarała się wykrzesać z siebie odrobinę radości, żeby przekonać ojca, że naprawdę nic złego jej się nie stało.

- Zapraszam cię do restauracji - powiedział ojciec. A potem dodał ciszej, jakby czymś się krępował: - Chciałbym ci kogoś przedstawić...

- Kogo? - spytała Liberty.

- Właściwie nie przedstawić, bo to nasza stara znajoma. Może pamiętasz Joan Andrews? Pracowała w moim gabinecie, kiedy miałaś siedem czy osiem lat.

- Oczywiście, że ją pamiętam. Ona chyba wyjechała za granicę.

Liberty od razu sobie przypomniała drobną pielęgniarzkę o czerwonych jak jabłuszka policzkach i jasnym słonecznym uśmiechu. Jakiś czas temu razem z mężem wyjechała do Australii, czy może Nowej Zelandii...

- Wyjechała. Z mężem. Tylko widzisz... - Ojciec jakoś dziwnie się zachowywał. Nie kończył zdań, jakby się wahał, jakby bał się o czymś powiedzieć. A prze-

cież on nigdy niczego się nie bał. - Mąż Joan był alkoholikiem. Właśnie z tego powodu wyjechali. Jego brat miał tam sporą farmę i chciał, żeby mąż Joan nią zarządzał. Joan miała nadzieję, że to mu pomoże wyjść z nałogu.

- I co? Pomogło? - spytała Liberty, choć nie bardzo wiedziała, czemu rozmawia z ojcem o mężu Joan.

- Na jakiś czas pomogło, ale potem znowu zaczął pić. Joan była z nim do końca. Wątroba nie wytrzymała.

- Jasne - skwitowała Liberty.

Z coraz większym niepokojem czekała na dalszy ciąg opowieści.

- Myśmy się bardzo kochali, Liberty - wyznał zakłopotany David Fox. - Już wtedy, kiedy byłaś mała. Wiem, trudno w to uwierzyć. Minęło ponad dwadzieścia lat... Oczywiście nigdy do niczego między nami nie doszło. Joan miała męża. Nie odeszłaby od niego, gdyby nie umarł... Zresztą ja...

- Miałeś mnie - dokończyła za niego Liberty. - Musiałeś mnie wychować.

- Ty nigdy nie byłaś problemem - głos ojca zabrzmiał stanowczo. - Joan cię uwielbiała, a że nie miała własnych dzieci... Jej mąż miał kiedyś wypadek na motocyklu. Tuż po ślubie. No i po tym wypadku... No, to było białe małżeństwo. Właśnie dlatego zaczął pić, idiota.

Liberty nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała pojęcia o uczuciach ojca i Joan. Skąd miała wiedzieć? Była wtedy małym dzieckiem.

- A jak to się stało, że znów się spotkaliście? - spytała, starając się opanować drżenie głosu.

- Przedwczoraj Joan przyszła do gabinetu - ojciec już odzyskał animusz. - Jej mąż umarł trzy miesiące temu. Musiała uporządkować wszystkie sprawy, ale teraz już na dobre osiadła w Anglii. Powiedziała, że nawiązuje dawne znajomości, ale wystarczyło, żeśmy na siebie spojrzeli i już wiedzieliśmy, że oboje czujemy to samo.

Liberty nie wierzyła własnym uszom. Czy to możliwe, że jej ojciec przez tyle

lat był zakochany w jednej i tej samej całkiem zwyczajnej kobiecie?

Możliwe, odpowiedziała sobie zaraz. I bardzo dużo tłumaczy.

David Fox był bardzo przystojnym lekarzem. Kobiety lgnęły do niego jak muchy do miodu. Liberty nie raz i nie dwa na własne oczy widziała, jak się do niego mizdrzyły, ale on nigdy żadną się nie zainteresował. Teraz wreszcie wydało się dłaczego.

- Bardzo się cieszę, tatku - powiedziała Liberty.

Naprawdę się ucieszyła. I starała się nie zwracać uwagi na lekkie ukłucie w sercu. Od teraz już nigdy nie będzie dla swego ojca najważniejsza na świecie.

- No więc jak? - dopytywał się. - Zgodzisz się dzisiaj z nią spotkać?

- Oczywiście, że tak. Z radością - skłamała Liberty, nadając swemu głosowi entuzjastyczne brzmienie. A przecież wołałaby przynajmniej przespać się z tą myślą, że jej ojciec już nie jest samotny, że znalazł sobie partnerkę na resztę życia.

- Super! - ucieszył się doktor Fox. - Joan będzie zachwycona. Trochę się obawiała, że możesz sobie pomyśleć, że ona ci mnie zabierze.

Roześmiał się. Do głowy mu nie przyszło, że jego idealna córeczka jest choć w maleńkim stopniu paskudną egoistką. Niestety, trochę się pomylił, ale przecież nie mogła mu tego powiedzieć.

- Najwyższy czas, żebyś ty też miał coś z życia - stwierdziła najzupełniej szczerze. - A z tego, co mi opowiedziałeś, wynika, że Joan też nie miała lekko.

- Dziękuję, Ptysiu - głos ojca brzmiał teraz czule, jakby Liberty znów była małą dziewczynką.

- No to jesteśmy umówieni. O ósmej wieczorem w Feniksie. Pasuje?

- W Feniksie? - zdumiała się.

To musi być najprawdziwsza miłość, pomyślała.

Feniks był jednym z najdroższych nocnych klubów w całym Londynie. Za jedną lampkę wina trzeba było zapłacić majątek.

- W Feniksie - powtórzył ojciec. Był wyraźnie dumny z siebie. - No to do zo-

baczenia, kochanie. I jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

Zwariowany dzień, pomyślała Liberty.

Jeszcze chwilę posiedziała w aucie, żeby ochłonać po rewelacjach ojca, nim znów włączy się do ruchu. Jednak to nie ojciec i jego Joan zaprzęтали myśli Liberty, ale przystojny mężczyzna o szarych oczach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez resztę dnia Liberty czuła się jak na szalonej karuzeli. Zwłaszcza że po lunchu nastąpiła dość długa przerwa w dostawie prądu, padł system komputerowy, niczego nie dało się załatwić i klienci byli - delikatnie mówiąc - poirytowani.

Właściwie mogłam się tego spodziewać, pomyślała filozoficznie. Przecież tata zawsze powtarza, że nieszczęścia chodzą parami.

Z biura wyszła ostatnia, co nie było niczym niezwykłym. Liberty zamierzała zostać współnikiem kancelarii, a nie osiągnęłaby takiego statusu bez poświęcenia i bardzo ciężkiej pracy. Zazwyczaj wracała do domu metrem, ale ponieważ przed południem wybierała się z wizytą do matki, pojechała tam samochodem. Teraz ten samochód, obity i nieszczęśliwy, stał na parkingu należącym do kancelarii adwokackiej. W zasadzie należałoby zadzwonić do warsztatu, umówić się na naprawę, ale o szóstej Liberty miała się spotkać z ojcem.

Z nikim innym by się tego dnia nie umówiła. Marzyła o gorącej kąpieli i wolałaby wcześniej pójść spać, niż włączyć się po najlepszych nawet nocnych klubach, ale swojemu tacie nie mogła sprawić zawodu.

Jechała do domu ostrożnie, znacznie wolniej niż zwykle. Zdawała sobie sprawę, że w stanie skrajnego wyczerpania, w jakim była w tej chwili, o wypadek nie trudno. A przecież jedną stłuczkę już miała za sobą.

Humor nieco jej się poprawił, kiedy wjechała na obsadzoną drzewami uliczkę w Whitechapel, gdzie ostatnio kupiła sobie nieduży domek.

Po skończeniu studiów prawniczych Liberty przez dwa lata robiła aplikację w kancelarii, w której obecnie pracowała. Przez te dwa lata nadal mieszkała z ojcem, ale kiedy zaproponowano jej stałą pracę, wynajęła sobie kawalerkę. Trzy lata później zamieniła kawalerkę na dwupokojowe mieszkanie, a niedawno kupiła sobie ten domek w Whitechapel. Domek wybudowano w siedemnastym wieku jako przytułek dla biednych marynarzy i wdów po marynarzach. W każdym razie tak głosił tekst reklamujący tę nieruchomość, zamieszczony w lokalnej gazecie.

Dom spodobał się Liberty od pierwszego wejrzenia. Na parterze znajdował się salonik i sypialnia z łazienką, a kuchnia, jadalnia i jeszcze jedna łazienka - w suterenie. Przy domku był mały ogródek z kamiennym stołem i wanią dla ptaków. Prócz tego mogło się tam zmieścić kilka donic z kwiatami oraz ogrodowy stolik i dwa krzesła.

Właścicielka domku mieszkała w nim przez ćwierć wieku, ale ponieważ zamierzała przejść na emeryturę i przenieść się do siostry do Kornwalii, postanowiła wystawić dom na sprzedaż. Liberty nawet nie pomyślała, że należałoby się targować i bez wahania zgodziła się zapłacić cenę wywoławczą. Już miesiąc później wprowadziła się do swego wymarzonego domu.

Nawet wysokie raty kredytu hipotecznego i związana z nimi konieczność zaciskania pasa przez kilka najbliższych lat nie zdołały popsuć radości, jaką Liberty odczuwała na nowo każdego dnia, kiedy wracała do domu. Dawał niezależność i całkowitą pewność, że nigdy w życiu nie trzeba będzie o nic prosić żadnego mężczyzny. Nigdy świadomie nie myślała o własnej matce jak o pajęczycy wysysającej krew ze swoich ofiar, ale podświadomie tak właśnie ją postrzegała. Za nic w świecie nie chciała się upodobnić do Mirandy, a podświadomy strach przed takim losem uwierał jak drzazga pod paznokciem.

Liberty zamknęła za sobą drzwi, zdjęła pantofle i rozsiadła się na kanapie w przytulnym saloniku. Musiała chwilę odpocząć.

Uwielbiała ten pokój. Ceglaste zasłony i dywan, o ton ciemniejsze obicie na

dwóch kanapach, a do tego kominek, który dawał nie tylko ciepło, ale także poczucie bezpieczeństwa oraz wrażenie stabilności.

Niestety, tym razem magia pokoju nie całkiem działała. Liberty wiedziała, jaki jest tego powód. Przeklęty Carter Blake!

Nie mogła o nim zapomnieć. Nawet w pracy ciągle o nim myślała. Właściwie mogłaby od razu do niego zatelefonować...

Jednak najpierw zadzwoniła po taksówkę. Dopiero potem wyjęła z torebki wizytówkę pana Blake'a. Nie było tam żadnego tytułu czy nazwy firmy, tylko imię, nazwisko i dwa numery telefoniczne: stacjonarny i komórkowy. Liberty poczuła, jak serce zaczyna jej łomotać. Jakby ta rozmowa telefoniczna miała o czymś ważnym zdecydować.

- Weź się w garść, Libby - strofowała na głos samą siebie. - To przecież tylko facet. Dwie ręce, dwie nogi i wielkie mniemanie o sobie na dodatek.

Po namyśle postanowiła zadzwonić dopiero następnego dnia. Uznała, że się nie pali, że nawet lepiej będzie, jeśli pan Blake sobie trochę poczeka. Zwłaszcza że do spotkania z ojcem zostało niewiele czasu, a trzeba się było jeszcze odświeżyć i przebrać.

Z wyborem sukienki nie miała żadnego problemu, ale nad uczesaniem trzeba się było zastanowić. W końcu postanowiła rozpuścić i wyszczotkować włosy. Feniks zasługiwał na wyjątkowy wygląd. Oczywiście ojciec też. Zwłaszcza że to dla niego bardzo ważny dzień.

Nim taksówka podjechała pod dom, Liberty w niczym nie przypominała surowej i poważnej panny Fox z kancelarii adwokackiej. Zawdzięczała to nie tylko uczesaniu, ale także prostej czarnej sukience, która zdawała się całkowicie zwyczajna, póki się nie zauważyło, że z obu boków ma rozcięcia sięgające do połowy uda. To Gerard ją namówił na tę sukienkę. Liberty miała w niej wystąpić na uroczystej kolacji, ale... No, nie wystąpi i już. Dobrze chociaż, że sama za nią zapłaciła, bo szkoda by było odsyłać taką ładną suknię, co trzeba by było zrobić, gdy-

by Gerard dołożył do niej choćby jednego pensa.

Liberty posmutniała i nawet płakać jej się zachciało, ale prędko się opamiętała. Gerard nie był wart ani jednej łzy. Niewierny kłamca. Na szczęście prędko wyszło szydło z worka.

Nie mogła sobie darować, że pozwoliła, by Gerard Bousquet stał się dla niej kimś więcej, niż tylko zwykłym znajomym. Prawie mu się udało ją przekonać, że wcale nie musi być sama, że mogą wspólnie przejść przez życie. Jednak choć się starała, nie potrafiła uwierzyć w te wszystkie plany na przyszłość, o których Gerard tak często i chętnie opowiadał. Czasami nawet robiła sobie wyrzuty, że nie ma do niego zaufania.

Tłumaczyła sobie, że to wszystko przez matkę, która co kilka lat zmienia męża, że z jej powodu Liberty stała się cyniczna i nieufna. A jednak nie w tym tkwił problem. Liberty dopiero dziś zdała sobie sprawę, czemu nie umiała uwierzyć Gerardowi. Owszem, był przystojny, zabawny i dość bogaty, ale miał miękkie usta, bez wyrazu, jak ktoś, dla kogo życie zawsze było łaskawe. Nie tak jak Carter Blake, który miał twarde rysy mocnego, doświadczonego przez los człowieka.

Taksówka zajechała pod dom. W samą porę. Liberty mogła się otrząsnąć z głupich myśli, nie brnąć w bezsensowne porównania. Po co w ogóle zawracała sobie głowę Gerardem? I czemu uznała za stosowne przyrównać go do pana Blake'a? Jakie miała podstawy do tego rodzaju porównań? Przecież o Carterze Blake'u nie wiedziała zupełnie nic. Może - tak samo jak Gerard - był bywalcem salonów, może też nigdy w życiu nie musiał pracować. Tak czy siak, nie należało sobie żadnym z nich zaprzętać głowy. Zwłaszcza tego wieczoru, który zamierzała poświęcić wyłącznie swemu ojcu i jego umiłowanej Joan.

Feniks był wyjątkowym miejscem: wspaniałym nocnym klubem, gdzie podawano doskonale jedzenie i gdzie zawsze było pełno ludzi. Liberty bywała w różnych klubach, ale zawsze czegoś im brakowało. Albo była dobra orkiestra i duży parkiet, albo dobre jedzenie. Tylko jeden Feniks mógł się pochwalić wszystkimi

tymi zaletami.

Liberty wysiadła z taksówki. Nie zdążyła się nawet rozejrzeć, a już - jak spod ziemi - pojawił się David Fox. Był podekscytowany jak młody chłopak i wyglądał, jakby mu ubyło co najmniej dziesięć lat.

- Śliczna jesteś jak zwykle - powiedział i uściskał Liberty.

- Ty też świetnie wyglądasz - odwzajemniła komplement.

Ojciec był wysoki, dobrze zbudowany i choć włosy całkiem mu posiwiały, wciąż jeszcze był przystojnym mężczyzną. Miranda wydawała majątek na utrzymanie zgrabnej sylwetki, za to David doskonale się trzymał, bo po prostu taką miał urodę. Co więcej, z wiekiem stawał się coraz bardziej atrakcyjny. Nabierał mocy jak dobre stare wino.

- Przedstawię cię Joan - powiedział i wziął córkę pod rękę.

Joan siedziała w barze, ale jak tylko zobaczyła Liberty z ojcem, zerwała się z miejsca i od razu do nich podeszła. Była taka sama jak przed laty: niska i przysadzista, słowem - nic nadzwyczajnego. A jednak ojciec Liberty wpatrywał się w tę kobietę, jakby Joan była piękniejsza od Julii Roberts i Catherine Zeta-Jones razem wziętych. Liberty nie potrafiła opanować wzruszenia.

- Witaj, Liberty - powiedziała Joan i uśmiechnęła się niepewnie.

Jej uśmiech był taki sam, jakim go Liberty zapamiętała: serdeczny, ciepły, jakby słońce zaświeciło w nocnym klubie. Liberty nie uścisnęła wyciągniętej na powitanie dłoni, tylko uściskała wybrankę swego ojca.

- Tak się cieszę, że cię znowu widzę - powiedziała, całując Joan w oba rumiane policzki. - Nie wiedziałam, że jesteś taka ważna dla mojego taty.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? - dopytywała się Joan.

- Ja? Z jakiego powodu? - Liberty szczerze się zdziwiła. - Przecież tata ciebie potrzebuje. Najwyższy czas, żeby też w końcu miał coś z życia.

- Dziękuję, ci, kochanie. - Joan miała łzy w oczach. - Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne. Okropnie się bałam, że mogłabyś mieć do mnie żal.

Miły, serdeczny nastrój towarzyszył im przez cały wieczór. Już po przystawkach Liberty poczuła, że stres i zmęczenie odeszły w siną dal. Cieszyła się, że może być razem z ojcem i Joan w tym niezwykłym klubie, że razem mogą się delektować wyjątkowo smacznym posiłkiem. Albo zapomniała, albo jako dziecko nie zwróciła wówczas uwagi, że Joan jest bardzo inteligentna i ma niesamowite poczucie humoru. Teraz Liberty już wiedziała, czemu ta niepozorna kobieta zawojowała serce jej wspaniałego ojca. Oprócz tego że była całkowitym przeciwieństwem Mirandy, oczywiście.

Jakoś tak w połowie obiadu uwagę wszystkich gości przyciągnęło towarzystwo zasiadające przy jednym ze stolików na drugim końcu sali. Jedną z osób w tym gronie była znana modelka, ale Liberty patrzyła tylko na towarzyszącego jej wysokiego mężczyznę o szarych oczach.

Carter Blake! W takim miejscu! I czemu akurat teraz?

Uśmiechnął się do niej. Liberty musiała się bardzo postarać, żeby odpowiedzieć mu uprzejmym, obojętnym uśmiechem. Jej serce tak mocno biło, że gdyby nie spora odległość między stolikami, pan Blake na pewno by je usłyszał. To trwało tylko ułamek sekundy, ale Liberty musiała się napić wina, żeby odzyskać spokój.

Tymczasem doktor Fox, który miał niesłychaną łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, rozmawiał o czymś z mężczyzną siedzącym przy sąsiednim stoliku, dyskretnie zerkając w stronę towarzystwa Cartera Blake'a.

- Czy to jacyś bardzo znani ludzie? - pytał David, przyglądając się, jak kierownik sali podchodzi do tamtego stolika cały w przymilnych uśmiechach.

- Dama w czerwonej sukni to Carmen Lapotiaze - uświadomił doktora pan od sąsiedniego stolika. - Modelka, znana głównie z wywoływanych skandali. Ta druga to jakaś aktorka, ale nie pamiętam nazwiska.

- Ja jej w ogóle nie znam - przyznał bez skrepowania ojciec Liberty. - A kim są towarzyszący tym paniom panowie?

- Przystojny dryblas obok Carmen to Carter Blake. Jest właścicielem tego

klubu, a prócz tego połowy Londynu. Tamtego drugiego nie znam.

- A więc to jest właściciel Feniksa? - Joan przyjrzała się uważnie panu Blake'owi. - Nareszcie wiem, czemu wszyscy kelnerzy tak koło niego skaczą.

- To gruba ryba ten Blake - potwierdził mężczyzna przy sąsiednim stoliku. - Ma udziały w kilku dużych firmach. Nieźle jak na kogoś, kto jeszcze dziesięć lat temu przymierał głodem. Ja oczywiście nie wiem nic pewnego, ale słyszałem mnóstwo plotek na ten temat.

- No cóż, moje panie, jeśli zamierzałem wam dostarczyć niecodziennych wrażeń, to wybrałem odpowiedni wieczór - doktor Fox uśmiechał się od ucha do ucha.

- Masz rację, tatku - Liberty uznała, że powinna się przyznać. - Ten człowiek, któremu zajęczałam dziś drogę...

- Niemożliwe! - wpadł jej w słowo ojciec. - Chcesz powiedzieć, że...

- Tak, to był Carter Blake - dokończyła za niego Liberty. - Jechał bardzo pięknym nowiutkim mercedesem. W każdym razie był piękny, zanim mu moje auto stanęło na drodze.

- Och, Libby. - Joan położyła dłoń na dłoni Liberty. Najwidoczniej doktor już zdążył jej opowiedzieć o wypadku. - Mam nadzieję, że nie był dla ciebie niemiły. Jeśli chcesz, to możemy natychmiast stąd wyjść.

- Naprawdę nie ma potrzeby - uspokoiła ją Liberty. - On zachował się wyjątkowo uprzejmie. A poza tym nie możemy stąd wyjść przed deserem.

- Za nic nie darowałabym sobie deseru - Joan się roześmiała. - To zresztą chyba widać. Oczywiście, chciałabym być taka szczupła jak ty, Libby, ale od dziecka byłam pulchna i tak już chyba zostanie.

- I bardzo dobrze - wtrącił się doktor Fox. - Niech ci nie przyjdzie do głowy żadne odchudzanie ani nic w tym rodzaju. Mam już po dziurki w nosie kobiet, które przez cały dzień zjadają liść sałaty. W moim gabinecie roi się od takich. Narzekają na stres, na nerwy i na Bóg wie co, a jedyne, czego naprawdę im trzeba, to trzy solidne posiłki każdego dnia.

- Och, Davidzie! - Joan znowu się śmiała.

Liberty pozazdrościła Joan. Jak to wspaniale być kochaną tylko za to, że się jest. Ile kobiet na świecie ma szczęście doświadczyć takiej bezwarunkowej miłości?

W swojej pracy Liberty bez przerwy spotykała się z kobietami porzuconymi przez mężów na rzecz nowej ukochanej. Zresztą zasada działała w obie strony. Jej własna matka była tego najlepszym przykładem. Liberty już dawno doszła do przekonania, że prawdziwa miłość nie istnieje w prawdziwym świecie. Owszem, miłość jest o niej poczytać w bajkach czy w powieściach, ale nie ma co liczyć na to, że samej się doświadczy takiego cudu. Jednak teraz, kiedy przyglądała się swemu przystojnemu ojcu i pulchniutkiej, bardzo zwyczajnej Joan, musiała przyznać, że chyba zdarzają się wyjątki od reguły. Bardzo rzadkie wyjątki, ale jednak istnieją. Cóż, David Fox był zupełnie wyjątkowym człowiekiem.

Liberty starała się nie zerkać w stronę stolika, przy którym siedział Carter Blake ze swoim towarzystwem, lecz ze zdenerwowania wypła aż trzy kieliszki czerwonego wina. Było doskonale, jak wszystko w tym lokalu, jednak Liberty za późno się zorientowała, że jest także bardzo mocne. Kiedy wstała od stołu, chcąc pójść do toalety, ledwo się mogła utrzymać na wysokich obcasach wieczorowych pantofelków. Toteż szła bardzo powoli, uważając na każdy krok, żeby się przypadkiem nie potknąć. Pan Blake mógłby sobie pomyśleć, że Liberty jest nie tylko niedorozwiniętym półgłówkiem, ale i nałogową pijaczką.

Toaleta, cała w lustrach i marmurach, była tak samo wytworna jak cały klub. I jak cały klub, należała do Cartera Blake'a.

Liberty się nie spieszyła. Poprawiła fryzurę, przesunęła po wargach szminkę. Chciała jak najdalej odsunąć w czasie chwilę, kiedy znów trzeba będzie wyjść na salę. Najzwyczajniej w świecie się bała. Nawet przed sobą nie bardzo chciała się przyznać, że nie mogła spokojnie jeść ani pić, wiedząc, że nieopodal siedzi ten mężczyzna. Rozmawiała, śmiała się i jednocześnie nadstawiała uszu, przysłuchując

się dolatującym od jego stolika strzępkom rozmowy. To było okropne, ale nie umiała się powstrzymać.

Zdażyła już uprzedzić ojca, że nazajutrz musi się stawić w pracy wcześniej rano i wobec tego będzie musiała wyjść zaraz po kawie. Zależało jej na tym, żeby zostawić Davida i Joan samych, by mogli się nacieszyć sobą i tym wieczorem, ale odkąd w klubie zjawił się Carter Blake, konieczność opuszczenia Feniksa stała się wręcz nagląca.

W końcu jednak musiała wrócić na salę. Liberty otworzyła drzwi, wyszła na wysłany grubym dywanem korytarz. Aż podskoczyła ze strachu, kiedy ktoś ją złapał za rękę.

- Przepraszam - odezwał się Carter Blake, bo to był on we własnej osobie. - Zdaje się, że panią przestraszyłem.

- To chyba oczywiste - odparła i odsunęła się od niego. - Jeśli pan sobie wyobraża, że mam teraz przy sobie polisę, to bardzo się pan pomylił. Do tej torebki mieści się właściwie tylko grzebień, szminka i karta kredytowa.

- Nie wiem, czemu pani mnie tak źle traktuje - powiedział, przyglądając jej się tak uważnie, że Liberty poczuła się nieswojo. - Przecież sama pani przyznała, że to pani spowodowała wypadek, nie ja.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Znowu na nią popatrzył, a potem się roześmiał.

- To na pewno przez te pani włosy - powiedział.

- Słucham? - Liberty nie potrafiła ukryć zdumienia.

Całkowicie zbił ją z pantafelku tą bezsensowną uwagą.

- Rudy zawsze mi się kojarzył z fajerwerkami - odparł z pełną swobodą. - Jest wybuchowy, tak samo jak pani.

Liberty wyprostowała się jak struna, co i tak niewiele jej pomogło. Carter Blake był stanowczo za wysoki, żeby dało się patrzeć na niego z góry.

- Czego pan chce ode mnie? - spytała.

- A co mi pani zaproponuje, panno Fox?

- Proszę sobie nie stroić ze mnie żartów - obruszyła się Liberty. - Pan doskonale wie, o co pytałam.

- Nie byłbym taki pewien - mruknął.

Miałem rację, pomyślał, ma wspaniałe włosy.

Gęste i lśniące jak jedwab. Podkreślają porcelanową cerę i uwypuklają te śliczne ciemne oczy.

- Chyba pan nie zaprzeczy, że pan tutaj na mnie czekał?

- A co będzie, jeśli zaprzeczę? - spytał. - Nie przyszło pani do głowy, że zauważyłem panią przypadkiem, po wyjściu z męskiej toalety? - Wskazał palcem drzwi znajdujące się w głębi korytarza.

Patrzyła na niego osłupiała. Czowała się jak idiotka. Znowu! I tak też się zachowywała. No bo czemu ktoś, kto spędza wieczór z Carmen Lapotiaze, miałby się zaciąć na Liberty Fox? Jak mogło jej coś takiego przyjść do głowy? Jak mogła tę głupią myśl głośno wypowiedzieć?

- Nie pomyliła się pani - przyznał się Carter Blake. - Rzeczywiście czekałem tu na panią. I proszę się na mnie nie złościć - uprzedził wybuch słusznego gniewu. - Obejrzałem samochód. Okazało się, że ma tylko niewielkie zadrapanie, więc jeśli da się pani zaprosić na kolację, to zapomnimy o całej sprawie i nie będziemy fatygować towarzystwa ubezpieczeniowego. A i pani auto udałoby się naprawić tanim kosztem. Mój przyjaciel ma warsztat...

- Wolałabym to załatwić oficjalnie - wpadła mu w słowo.

Od razu się domyśliła, o co chodzi. Wprawdzie powiedział „zjeść kolację”, ale na pewno miał na myśli „iść do łóżka”. Liberty знаła się na takich numerach. Owszem, była dziewicą, ale nie była głupia.

- Dlaczego? - spytał takim tonem, jakby w rzeczy samej wcale nie był ciekaw.

- Ponieważ nie poszłabym z panem na kolację, nawet gdyby był pan jedynym mężczyzną we wszechświecie. Być może zabrzmiało to jak pusty frazes, ale ja nie je-

stem tego rodzaju osobą. Niech pan wraca do swego towarzystwa, drogi panie.

- Wspomniałem o kolacji i tylko o kolację mi chodziło - wytłumaczył spokojnie, jakby wcale go nie obraziła bezsensownym przypuszczeniem. - Jak długo żyję, nigdy nie musiałem sobie kupować kobiet.

To było oczywiste. Tak samo jak to, że Liberty popełniła kolejny niewybaczalny błąd.

- Przepraszam - wymamrotała czerwona jak piwonia. - Nie mam prawa... Tylko widzi pan, większość mężczyzn...

- Wykorzystałaby każdą sposobność, żeby zawrzeć bliższą znajomość z taką niezwykłą kobietą jak pani? - podpowiedział. - Do tego ja też się mogę przyznać. Tylko do tego - dodał z naciskiem, żeby nie pozostawiać żadnych wątpliwości. - Jeśli zechce mnie pani bliżej poznać, przekona się pani, że jestem inny aniżeli „większość mężczyzn”.

Ani mi się śni, pomyślała. Po co mi taka znajomość? Facet jest bardzo niebezpieczny. Biedny Gerard mógłby u niego brać lekcje z uwodzenia.

- Tata na mnie czeka - Liberty uśmiechnęła się z przymusem. - Ale proszę się nie bać, na pewno do pana zadzwonię. Ustalimy, jak załatwić sprawę dzisiejszej stłuczki.

- Kiedy? - spytał z nieukrywaną niecierpliwością.

- W ciągu dwudziestu czterech godzin - odparła wyniośle. - A teraz naprawdę muszę iść. Tata będzie się niepokoił.

- Przecież nie jest tam sam - zauważył Carter Blake. - Czy ta pani przy waszym stoliku to pani matka?

Po raz pierwszy, odkąd przestał być nastolatkiem, usiłował nawiązać rozmowę z kobietą, która chciała się go jak najszybciej pozbyć. Sam nie bardzo rozumiał, dlaczego to robi. Chyba że dla tych pięknych brązowych oczu.

- Nie - powiedziała Liberty po bardzo długiej chwili. - Ta pani nie jest moją matką.

Ale nie kazała mu iść do diabła ani pilnować własnego nosa, ani nawet nie kazała mu się odczepić. Co innego mowa ciała. Całą sobą krzyczała, że wolałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj i nie w towarzystwie Cartera.

- Też mi się tak zdawało. - Carter Blake udawał, że nie rozumie mowy ciała. - Nie jest pani do niej ani trochę podobna.

- Do rodzonej matki też nie jestem podobna. - Liberty wzruszyła ramionami. - Tak wyszło.

Tym razem zdziwił się Carter. Kiedy mówiła o matce, w jej głosie dało się słyszeć coś... Nic konkretnego, tylko nastrój, albo jakiś sygnał... Nie był dobry. Może rzeczywiście lepiej zostawić ją w spokoju. Niech nie dzwoni. Nie miał ochoty brać sobie na głowę kobiety z przeszłością. Kobiety traktował tak samo jak swoje samochody: miło być razem, ale kiedy nadchodzi czas rozstania, po prostu się rozstajemy i nikt nie ma do nikogo żalu.

- Odprowadzę panią do stolika - powiedział mimo to.

Coraz bardziej sam siebie zadziwiał.

- Nie trzeba - zaprotestowała Liberty.

Ani jej się śniło przedstawiać tego człowieka ojcu i Joan.

- Pańska towarzyszka mogłaby mieć pretensję...

- Carmen? Nie, skądże. My się bardzo dobrze rozumiemy.

Nie wątpię, pomyślała Liberty. Nie zdawała sobie sprawy, że wszystkie myśli odbijają się na jej twarzy jak w lustrze.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - wyjaśnił Carter, który czytał w twarzy Liberty jak w książce. - Gdyby było inaczej, nie zapraszałbym pani na kolację. Jedna kobieta naraz. Taką mam zasadę.

Liberty była na siebie wściekła. Jak mógł ją tak strasznie zmylić! Kiedy tutaj przyszli, ta Carmen owijała się wokół niego jak trujący bluszcz, a teraz ten człowiek ją, Liberty, obwinia o to, że wyciągnęła niewłaściwe wnioski.

- Nie interesują mnie pańskie stosunki z panną Lapotiaze - oznajmiła z godno-

ścią. - W ogóle mnie pańskie sprawy nie obchodzą. Żegnam pana. - Skinęła głową i odeszła, zanim Carter zdołał dojść do siebie.

Spodziewała się, że za nią pobiegnie, ale dotarła do stolika bez przeszkód. Ojciec i Joan popatrzyli na nią, jakby mieli wyrzuty sumienia, że właściwie nie zauważyli nieobecności Liberty, więc uśmiechnęła się do nich, bo im się to po prostu należało.

Popijając doskonałą kawę, zastanawiała się, czemu Carter Blake tak strasznie ją irytował. Nigdy dotąd żaden mężczyzna aż tak jej nie zalazł za skórę. Wprawdzie nie było ich wielu, ale jednak jacyś tam byli.

Zanim poznała Gerarda, spotykała się z wieloma mężczyznami, ale każdą znajomość traktowała z dystansem. Zresztą Gerard też nie złamał jej serca. Owszem, trochę je porysował i na pewno ugodził miłość własną, ale Liberty nie cierpiała z powodu jego zdrady. Jakby się tego od początku spodziewała.

Była zadowolona, że nie dała mu się namówić na pójście do łóżka. Nie chciała być tylko kolejną pozycją w notesie. Chciała - jeśli kiedykolwiek zdecyduje się na ten krok - żeby to coś znaczyło. I dla niej, i dla ewentualnego partnera.

Dopiła kawę trochę szybciej, niż należało i zaczęła się zbierać do wyjścia. Ojciec odprowadził ją do taksówki.

- Jak myślisz - spytał, kiedy już byli przy drzwiach - czy mogę już dziś poprosić Joan o rękę? Nie chciałbym, żeby sobie pomyślała, że ją ponaglęm...

- Na pewno nie będzie za wcześnie. - Liberty pocałowała ojca w policzek. - Po dwudziestu latach...

- Ale przyjdiesz na ślub? - dopytywał się.

- Jasne - zapewniła. Otworzyła drzwi taksówki, która właśnie się zatrzymała przy krawężniku. - A teraz wracaj do Joan. Jutro do ciebie zadzwonię. Dziękuję za przemiły wieczór.

Ojciec stał na chodniku i machał ręką na pożegnanie. Jak zawsze. Jednak tym razem oboje wiedzieli, że już nic nigdy nie będzie tak jak zawsze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Do Cartera Blake'a zadzwoniła następnego dnia o dziewiątej wieczorem. Uznała, że to właściwa pora. Dość wcześnie, by wypadało jeszcze dzwonić do obcego człowieka i na tyle późno, żeby nie zostać posądzoną o zbytnią niecierpliwość.

Carter Blake od rana zaprzętał jej myśli, ale nikomu by się do tego nie przyznała. Chyba po raz pierwszy zdarzyło się jej, że musiała sprawdzić, czy właściwie wykonała swoją pracę. Dotąd zawsze była skoncentrowana, skupiona wyłącznie na tym, co miała do zrobienia, ale tego dnia bez przerwy się myliła, coś przekręcała, coś musiała poprawiać. I to wszystko przez mężczyznę o szarych oczach, który nie chciał spokojnie siedzieć w przegródce, jaką mu wyznaczyła. Okropnie jej się to nie podobało.

Zadzwoniła na numer stacjonarny. Miała nadzieję, że odezwie się automatyczna sekretarka. Liberty mogłaby wtedy nagrać wiadomość bez konieczności rozmawiania z Carterem. Wmawiała sobie, że tego właśnie chce, i udawała, że wcale nie ma ochoty znów usłyszeć tego miłego, głębokiego głosu. Toteż była poważnie rozczarowana, kiedy się okazało, że telefon odebrała kobieta.

- Rezydencja Cartera Blake'a - odezwał się w słuchawce damski głos.

Może to jego matka? Nie. Głos należał do kogoś młodego. Wobec tego żona. Nie, on nie wygląda na żonatego. Oczywiście, że nie. Kobiety na całym świecie dają się nabierać właśnie takim mężczyznom, którzy w ogóle nie wyglądają na żonaty. W swej pracy Liberty praktycznie co dzień spotykała się z dowodami na potwierdzenie tej dobrze znanej prawdy.

- Mówi Liberty Fox - przedstawiła się. - Dzwonię w sprawie...

- A, tak - wpadła jej w słowo ta kobieta. - Carter mnie uprzedził, że pani będzie dzwoniła. Proszę chwilę poczekać, zaraz go poproszę do telefonu.

- Nie trzeba. Gdyby była pani tak miła... - Zorientowała się, że mówi do sie-

bie. Słyszała, jak ta kobieta woła Cartera, a serce biło coraz mocniej, jakby się zamierzało wyrwać z piersi.

Po kilku sekundach rozległo się kliknięcie; ktoś podjął słuchawkę drugiego aparatu.

- Liberty? - na dźwięk tego głosu ciarki jej przeszły po plecach. - Czekałem na twój telefon.

I co to miało znaczyć? Zwykły zwrot grzecznościowy, czy może rzeczywiście czekał, aż ona się odezwie? Liberty uznała, że bezpieczniej będzie uznać za poprawną pierwszą z tych dwóch odpowiedzi.

- Chciałam panu podać numer mojej polisy ubezpieczeniowej - powiedziała służbowym tonem.

- Carter.

- Przepraszam - głos jej odrobinę drżał - chyba źle pana zrozumiałam.

- Przez ciebie porysował mi się lakier na samochodzie - mówił Carter Blake - więc bądź łaskawa nieco spuścić z tonu i zacznij mi mówić po imieniu.

Liberty miała na końcu języka ciętą ripostę, ale Carter znowu się odezwał:

- A ty, Jen, możesz już odłożyć słuchawkę.

Nikt się nie odezwał, tylko ponownie dało się słyszeć kliknięcie.

- To moja siostra - wyjaśnił Carter. - Moja bardzo wścibska siostra - dodał.

Ach, siostra, pomyślała Liberty. Powinnam była się domyślić, a jednak do głowy mi nie przyszło, że on może mieć jakieś rodzeństwo. Jest taki inny od wszystkich, jedyny w swoim rodzaju.

- No to teraz możesz mi już podać swój adres i numer telefonu - odezwał się Carter Blake.

- Tak, tak, oczywiście. Już podaję. - Zaczęła dyktować mu swoje dane, ale gdy doszła do numeru polisy, Carter przerwał ten potok słów.

- Nie potrzebuję numeru polisy ani samochodu - powiedział łagodnie. - Mieliśmy się umówić na kolację. Zapomniałaś?

- Oczywiście, pamiętam, ale... - Nie miała pojęcia, co powiedzieć. A nawet gdyby wiedziała, to i tak nie mogłaby się odezwać, bo serce aż podskoczyło jej do gardła. Na szczęście miała silną wolę, więc dosyć szybko się opanowała. - Jeśli dobrze sobie przypominam, to ustaliliśmy, że to nie jest najlepsze rozwiązanie.

- Nic podobnego - zaprotestował Carter.

- Owszem, powiedziałaś mi, co myślisz o motywach mojego postępowania, ale ja ci wyjaśniłem, że się mylisz, więc nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy zjeść kolacji w miłej atmosferze.

Brzmiało to całkiem rozsądnie, a więc gdzieś tam musiał być jakiś haczyk.

- Ja ostatnio bardzo dużo pracuję - powiedziała Liberty. - Nie mam czasu na żadne spotkania.

- Ze zwykłym mężczyzną na pewno nie, ale ze mną to co innego.

Liberty aż zaniemówiła z wrażenia. Pierwszy raz w życiu miała do czynienia z tak bardzo pewnym siebie osobnikiem.

- Ze mną to co innego - powtórzył Carter - ponieważ jesteś mi coś winna. Spowodowałaś wypadek, w wyniku którego mogłem doznać bardzo poważnych obrażeń.

- Ale nie doznałeś - stwierdziła stanowczo.

- Nie powiedziałem, że coś mi się stało, ale że mogło się stać - wyjaśnił Carter. - Pomyśl tylko o szoku, jaki przeżyłem na widok twojego samochodu pakującego mi się wprost pod przednie koła. Kierowca o słabszym sercu mógłby nawet dostać zawału.

Liberty się uśmiechnęła. Nie umiała się opanować. Dobrze, że Carter tego nie mógł zobaczyć. Nie chciała, żeby się dowiedział, że jego czary już zaczęły działać.

- Ty nie dostałeś zawału, a twój samochód ma tylko kilka zadrapań, za których naprawienie zobowiązałam się zapłacić - powiedziała, skrywając rozbawienie pod śmiertelnie poważnym tonem.

- Nie rozumiesz? Ja nie chcę twoich pieniędzy. Chcę, żebyś się dała zaprosić

na kolację.

I po co ja się tak upieram? - pomyślała Liberty. Ten człowiek najwyraźniej nie rozumie słowa „nie”. I co to szkodzi, że się z nim jeden raz spotkam? Korona mi z głowy nie spadnie, to pewne.

- Zgoda - powiedziała niezbyt uprzejmie. - Dam się zaprosić na kolację.

- Świetnie - ucieszył się, jakby nie zwrócił uwagi na jej niegrzeczny ton. - Jutro sobota. Będziesz miała cały wolny dzień, żeby się przygotować do wyjścia.

- Zaraz, zaraz - powstrzymała jego zapędy. Jak on śmiał sobie roić, że ona będzie na każde jego skinienie? - Nie powiedziałam, że mam jutro wolny dzień.

- A nie masz? - zapytał Carter.

- Tak się składa, że mam, ale równie dobrze mogłabym mieć jakieś zajęcia.

- Sama mi powiedziałaś, że z nikim się teraz nie spotykasz - zauważył. Mówił spokojnie, z anielską cierpliwością, jakby coś tłumaczył wyjątkowo nierozgarniętemu dziecku. - Dlatego doszedłem do wniosku, że najpoważniejszym zajęciem, jakie mogłabyś zaplanować na sobotę, jest co najwyżej mycie włosów.

- Powiedziałam także, że mam bardzo dużo pracy - przypomniała mu. - Mogłabym mieć umówione spotkanie, którego nie da się odwołać.

- Ale nawet ty musisz czasami coś zjeść - zauważył rezolutnie.

Liberty się poddała. Już wiedziała, że nie wygra z tym człowiekiem. Postanowiła skończyć tę bezsensowną dyskusję, spotkać się z nim i nareszcie mieć go z głowy.

- Przyjadę po ciebie o siódmej, dobrze? - spytał, uznawszy jej milczenie za zgodę. - Nie musisz się jakoś specjalnie ubierać, bo restauracja, do której się wybieramy, jest całkiem zwyczajna. Tylko jedzenie mają tam nadzwyczajne.

- Dobrze - zgodziła się, tym razem bez walki. Przypuszczała, że pójdą do Feniksa, ale Carter Blake najwyraźniej miał inne plany. - Dziękuję - dodała z przymusem.

- To ja ci dziękuję - odparł. - Dobranoc, Liberty.

- Dobranoc - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Co najmniej dwie minuty siedziała bez ruchu i wpatrywała się w ścianę. Za nic w świecie, nawet przed sobą, by się nie przyznała, że od początku wiedziała, iż Carter w końcu postawi na swoim i że ona będzie bardzo chciała, żeby to zrobił.

Miała mętlik w głowie, kiedy się kładła spać, a mimo to natychmiast zasnęła. Spała jak zabita i obudziła się dosyć późno. Jeszcze trochę poleżała w ciepłym łóżku, patrząc na obraz, który sobie kupiła wkrótce po tym, jak sprowadziła się do nowego domu. Wypatrzyła go w niewielkiej galerii obok swojej kancelarii i tak jej się spodobał, że go kupiła. Wprawdzie Liberty musiała się liczyć z każdym groszem, a obraz kosztował niemało, ale nie umiała go sobie odmówić.

Obraz przedstawiał zaśnieżony ogród o zachodzie słońca i dwie postacie: matka przykucnięta z szeroko otwartymi ramionami czeka na biegnącą do niej roześmianą dziewczynkę. Ilekroć Liberty spojrzała na ten obraz, zawsze robiło jej się ciepło koło serca. A gdy go pokazała swojemu tacie, powiedział, że najwyraźniej postanowiła obłaskawić prześladowające ją upiory.

Ten komentarz niezbyt się Liberty podobał, ale nigdy się do tego nie przyznała. Nie chciała mieć dzieci. To znaczy chciała, ale nie odważyłaby się powierzyć żadnemu mężczyźnie siebie i jeszcze dziecka na dodatek. Dziecko powinno mieć dwoje kochających się rodziców. Dlatego też nigdy nie zdecydowałaby się na samotne rodzicielstwo, co wybrało kilka jej koleżanek, które wcześniej zdążyły się zawieść na mężczyznę. Liberty była dzieckiem samotnego ojca, więc doskonale wiedziała, jak niedoskonałe jest takie rozwiązanie.

Czego ja jeszcze chcę od życia? - pomyślała zirytowana tymi niemądrymi rozmyślaniami. Mam własny dom, dobrą pracę, a za kilka lat zostanę współnikiem w kancelarii. A przecież na tym nie koniec.

Liberty zamierzała dojść tak wysoko w zawodowej karierze, jak to tylko będzie możliwe. Niestety, tego dnia perspektywa błyskotliwej kariery prawniczej nie wydawała jej się taka pociągająca jak zazwyczaj.

- Muszę się napić kawy - powiedziała głośno i wyskoczyła z łóżka.

Poranne leniuchowanie w weekend było prezentem Liberty dla samej siebie. Uważała, że po wirze, w jakim się obracała od poniedziałku do piątku, najzwyczajniej w świecie należy jej się jeden rano niezmaconego spokoju.

Dopijała drugą filiżankę kawy, kiedy zadzwonił telefon.

- Liberty? - usłyszała w słuchawce głęboki ciepły głos. Aż podskoczyła.

Oczywiście wylała sobie kawę na kolana. Dobrze, że do tej pory zdążyła już ostygnąć. - Mówi Carter.

Dzwoni, żeby odwołać spotkanie, pomyślała nie bez satysfakcji. I dobrze. To przecież od początku nie miało żadnego sensu.

- Tak? - odezwała się, jednocześnie wycierając chusteczką zapachnącą piżamę.

- Masz gości? - spytał.

Jego głos stał się o pół tonu chłodniejszy.

- Słucham? - zdziwiła się.

- Pytałem, czy ktoś jest u ciebie - wyjaśnił odrobinę zniecierpliwiony.

- No, skąd - obruszyła się. - O dziewiątej rano?

- Tak jakoś... Masz dziwny głos.

Ty też byś miał dziwny głos, jakby ci się kawa wylała na podolek, pomyślała zjadliwie.

- Przed chwilą się obudziłam - skłamała, choć tylko odrobinę, bo nie mogła mu powiedzieć o kawie. Przez to wszystko dopiero po czasie dotarło do niej, co miało oznaczać jego dziwne pytanie. - A w ogóle czemu mnie o to pytasz? Ja nie przyjmuję gości o tej porze.

- Tak tylko zapytałem. Jesteś samotną kobietą, masz prawo gościć u siebie, kogo zechcesz.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Nie jestem zwolenniczką krótkich romansów ani żadnych takich ekstrawagancji, w związku z czym zawsze sypiam sama. Jasne?

- To dobrze - powiedział, ale chyba nie był zadowolony.

Oświadczenie Liberty musiało mu poważnie pokrzyżować plany.

- No więc, o co chodzi? - spytała. - Przypomniałeś sobie, że już wcześniej się z kimś umówiłeś? Jakiś bardzo pilny interes czy coś w tym rodzaju?

- Nie wygłupiaj się - ofuknął ją. - Zadzwoiłem, bo chciałem się dowiedzieć, czy masz także wolne popołudnie. Ale się zastanów, zanim wymyślisz sto tysięcy rozmaitych wymówek. Tak się składa, że udało mi się zdobyć dwa bilety na popołudniowy spektakl na West Endzie.

Liberty bardzo chciała obejrzeć to przedstawienie, ale bilety były wyprzedane na wiele miesięcy naprzód. W tej sytuacji po prostu nie mogła odmówić.

- Będzie mi bardzo miło - powiedziała. - Jeśli oczywiście jesteś całkowicie pewien, że nie wolałbyś zabrać na przedstawienie kogoś innego.

- Och, nie ciesz się aż tak bardzo - skomentował złośliwie. - Gdybym chciał zaprosić kogoś innego, to raczej bym do ciebie nie zadzwonił. Przyjadę o pierwszej. Do widzenia.

Rozłączył się, zanim Liberty zdążyła cokolwiek powiedzieć. Choćby tylko „do zobaczenia”.

Trzy razy się przebierała. Na szczęście zdążyła podjąć ostateczną decyzję, zanim Carter Blake zadzwonił do drzwi jej domku.

Raz jeszcze zerknęła w lustro. Kaszmirowa króciutka sukienka w kolorze kości słoniowej, na to tweedowy płaszcz. Liberty dobrze się prezentowała, choć praktycznie nie miała makijażu, a włosy upięła w kok na czubku głowy. Trochę za poważne uczesanie na weekend, ale czuła, że tak właśnie będzie dobrze.

Niech wie, że ja nie jestem do wzięcia, pomyślała. A potem pokazała język swojemu odbiciu w lustrze. Skoro Carter Blake mógł mieć takie kobiety jak Carmen Lapotiaze, to naprawdę nie musiał sobie zawracać głowy osobami w rodzaju Liberty Fox. Zapewne miał uczciwe zamiary, ale ostrożności nigdy nie za dużo.

Otworzyła drzwi i dech jej zaparło z wrażenia. W ciemnoszarych spodniach i

czarnej skórzanej kurtce Carter Blake wyglądał jeszcze bardziej pociągająco niż poprzedniego wieczoru.

- Cześć - powiedział, wręczając jej bukiet kwiatów.

- Dziękuję. - Liberty najpierw wzięła kwiaty, a dopiero potem zrozumiała, że w tej sytuacji musi go zaprosić do środka. Nie mogła przecież zajmować się kwiatami, a ofiarodawcy zostawić na dworze. Musiała przyznać, że chytrze to sobie wymyślił. - Wejdz, usiądź, a ja wstawię kwiaty do wody.

- Ładnie tu u ciebie - Carter się do niej uśmiechnął. Już przedtem zauważyła, że uśmiech łagodzi mu rysy, robi z niego nie tylko przystojnego, ale także sympatycznego mężczyznę.

- No - bąknęła Liberty.

Nie miała ochoty rozmawiać z nim o swoim domu. Nie chciała się z nikim dzielić swym zaciszem, do którego ten człowiek wtargnął właściwie nieproszony.

Wzięła pierwszy z brzegu wazon i wstawiła do niego bukiet: gustownie ułożone frezje i kremowe róże.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję - powiedziała, stawiając wazon z kwiatami na stoliku. - Są piękne. Czy możemy już iść? Boję się, żebyśmy się nie spóźnili.

Spojrzał na nią jakby trochę zdziwiony tym pośpiechem, ale wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i przepuścił Liberty przodem. Przechodząc, otarła się o niego ramieniem. To wystarczyło, żeby dreszcz przeszedł jej po plecach. Miała nadzieję, że Carter tego nie zauważy; niestety, znowu się zawiodła.

- Nie denerwuj się tak - powiedział, przyglądając się, jak zamyka drzwi na klucz. - Ciągłe jeszcze się boisz, że zażądam, byś zapłaciła w naturze za rysy na moim mercedesie?

- Skądże - odparła. Miała nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco pogardliwie.

- To dobrze - ucieszył się, patrząc z podziwem na czerwone policzki Liberty. Jak to możliwe, żeby dorosła kobieta rumieniła się z powodu tak nieszkodli-

wej uwagi? - pomyślał. Może pracuje w przedszkolu? Tak, to bardzo możliwe. Albo w bibliotece.

- Czym się zajmujesz? - zapytał. - Zawodowo.

- Jestem adwokatem cywilistą.

- No, nie! - Carter wpatrywał się w nią ze zdumieniem. A potem wprawnym ruchem wysunął spinki podtrzymujące sztywny kok. - Jesteś niesamowita.

- Zostaw to! - zawołała, gdy włosy opadały jej na ramiona, a Carter schował spinki do kieszeni. - Oddawaj - domagała się.

- Nie wolno chować pod korcem takiej niezwyklej urody. - Powiedział to całkiem zwyczajnie, ale jego spojrzenie sprawiło, że Liberty zapomniała o spinkach.

Przed domem czekała taksówka. Carter usadził w niej Liberty, a potem usiadł obok niej. Był swobodny, uradowany. Za to Liberty była jednym kłębkim nerwów.

Gdy taksówka ruszyła, Carter wziął Liberty pod rękę tak poufale, jakby znali się już całą wieczność.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosił.

Nie cofnęła ręki. Najpierw dlatego, że była zbyt zdumiona, potem, kiedy już się uspokoiła, było już za późno na taki gest. Ośmieszyłyby się tylko w jego oczach i tyle.

- Niewiele jest do opowiadania - mruknęła. - Mam trzydzieści lat, uwielbiam swoją pracę i kocham swój dom. Naprawdę nic nadzwyczajnego.

- Miałaś kiedyś męża? - spytał Carter.

- No skąd - obruszyła się. - Czy ja aż tak staro wyglądam?

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Niektóre kobiety rozwodzą się grubo przed trzydziestką. Ot, choćby moja siostra.

Nie bardzo wiedziała, jak ma to skomentować. A może lepiej było nic nie mówić? Carter siedział tak blisko, że udem ocierał się o udo Liberty. Wcale nie było łatwo panować nad narastającym podnieceniem.

Carter uśmiechnął się pod wąsem. Wyczuł, że jest zdenerwowana i doskonale rozumiał powód. Był zadowolony, że nie jest obojętny tej przedziwnej cudownej kobiecie. On także bardzo jej pragnął i dziwił się, że aż tak. Od lat nie czuł się taki podniecony, bezradny i skrepowany. Ostatni raz... Przy swojej pierwszej dziewczynie! Ale wtedy miał siedemnaście lat! Czemu ta rudowłosa piękność przyprawiała go o bezsenność? Przecież od dawna był dorosłym człowiekiem.

- A więc nigdy nie byłaś mężatką - stwierdził. Przysunął się do niej jeszcze bliżej. - A czy kiedykolwiek się na to zanosilo?

Liberty marzyła o tym, żeby wreszcie dojechać do celu. Czuła, jak topnieje przy tym człowieku. Jakby była zrobiona z wosku.

- Tak mi się wydawało - odparła, usiłując zachować spokój. - Zresztą nawet całkiem niedawno. Na szczęście do niczego nie doszło.

- Na szczęście? - Carter lekko uniósł brwi.

- To byłby życiowy błąd - skwitowała Liberty.

- Aha. - Skinął głową. - Facet nie spełniał wymagań?

- Powiedzmy, że nie był tym, za kogo się podawał. - Nie zamierzała się spowiadać ze swego życia, ale jeden drobiazg koniecznie musiała wyjaśnić. - Szczerze mówiąc, nie był mi zbyt wierny, a to akurat jest dla mnie bardzo ważne.

Carter znów skinął głową, ale już nie drażył tematu. Zamiast tego zaczął opowiadać, jak to zdobył bilety na dzisiejsze przedstawienie, bo kolega musiał nagle załatwić za granicą jakiś niesłychanie ważny interes.

Liberty czuła się coraz swobodniej. Raz nawet się uśmiechnęła. Nim dojechali na miejsce, niemal całkowicie zmieniła zdanie na temat Cartera. Nadal uważała, że jest bardzo pewny siebie, ale już jej to nie przeszkadzało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przedstawienie było wspaniałe, a oni mieli doskonałe miejsca. Ponieważ restauracja, do której ją Carter zaprosił na kolację, znajdowała się zaledwie kilka przecznic od teatru, Liberty z radością przyjęła propozycję, żeby tam pójść na piechotę.

- Jesteś głodna? - spytał i wziął ją za rękę tak, jakby to robił od lat.

Liberty nie rozumiała, czemu przeszywał ją dreszcz za każdym razem, kiedy ich dłonie się stykały. Już dawno nie była nastolatką, miała też za sobą kilka spotkań z mężczyznami, którzy zmierzali najprostszą drogą do celu. Sęk w tym, że Carter był zupełnie inny. Zachowywał się, jakby mu zależało wyłącznie na towarzystwie Liberty, jakby chciał tylko tego, o czym wcześniej uprzedził: obejrzeć przedstawienie i zjeść kolację w jej towarzystwie. Nic więcej i nic ponadto. Może dlatego była tak niespokojna? Z tamtymi doskonale sobie radziła. Wystarczyło spojrzenie czy kąśliwa uwaga wypowiedziana lodowatym tonem, żeby ostudzić niewczesne zapędy, ale nie wiedziała, czego się może spodziewać po Carterze. Poza tym Carter ją fascynował. Może dlatego, że nie umiała odgadnąć, czemu jest inny niż wszyscy ci mężczyźni, z którymi dotąd miała do czynienia

- No to jesteśmy na miejscu - oznajmił, zatrzymując się przed drzwiami restauracji. - Mam nadzieję, że ci się tu spodoba. Właściciel jest moim przyjacielem. Nie bardzo dba o formy, ale wszystko, co podaje, smakuje wyśmienicie. Ma smykałkę do gotowania.

Patrzyła na niego, a mimo to nie przyszło jej do głowy, że mógłby ją pocałować. Tymczasem Carter się pochylił, delikatnie musnął jej usta swymi wargami i zaraz znowu się wyprostował. Jak gdyby nic się nie stało. Liberty nawet nie zdążyła się oburzyć, bo już otwierał przed nią drzwi restauracji.

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko wejść do środka, ale mogła myśleć o tym pocałunku i o tym, co by się zdarzyło, gdyby nie doszło do niego przed

drzwiami restauracji, gdyby znajdowali się w jakimś odludnym miejscu.

Prędyutko wzięła się w garść, bo wielkimi krokami zbliżał się do nich sympatyczny wysoki brunet.

- Ty to masz nosa - powiedział, ściskając serdecznie dłoń Cartera. - Zawsze się zjawiasz wtedy, kiedy mam na blasze jagnięcą pieczeń. Ale chyba nie miałem jeszcze przyjemności... - zaczął, spoglądając na Liberty.

- Daj sobie spokój. - Carter machnął ręką. - Nawet nie próbuj na Liberty tych swoich czarów. Ona jest odporna jak żadna. Nawet mój urok na nią nie podziałał.

- Trudno - brunet westchnął komicznie.

- To jest Adam Temple - przedstawił przyjaciela Carter. - Łotr spod ciemnej gwiazdy, ale za to najlepszy kucharz na świecie i właściciel tej tutaj restauracji.

- Pozwól, że Liberty sama wyrobi sobie zdanie na mój temat - odciął się Adam.

Skłonił się w pas i pocałował ją w rękę.

- Zawsze polegam wyłącznie na własnym zdaniu - odparła z uśmiechem. Dzięki krótkiemu przedstawieniu, jakie dali Adam z Carterem, zdążyła dojść do siebie po tamtym pocałunku, którego nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie mogłaby się spodziewać.

- A jego już przejrzałaś? - spytał Adam, zerkając na przyjaciela.

- Jeszcze nie miała okazji - wytłumaczył mu Carter. - Znamy się dopiero dwa dni. Ale nie gadaj tyle, tylko znajdź nam jakiś dobry stolik.

Adam zaprowadził swych gości na koniec sali, za przepierzenie, a potem zniknął w kuchni. Po chwili pojawił się kelner z listą win, menu i dwoma szklanczkami koktajlu „w prezencie od firmy”, jak powiedział.

- Wypijmy za to, żebyśmy mogli się lepiej poznać - Carter wznosił toast, kiedy znowu zostali sami.

Liberty nie miała ochoty poznawać bliżej Cartera, chociaż... No tak, chciała, ale bała się do tego przyznać. Bała się, że mogłaby się wygłupić.

- Wypijmy za dzisiejszy wieczór - powiedziała, unosząc swoją szklanę, a potem zajrzała do menu.

- Bardzo duży wybór - pochwaliła. - Nie wiem, na co się zdecydować.

- Polecam jagnięcą pieczeń, a do tego czerwone wino. Adam ma wspaniałego kalifornijskiego merlota. Doskonale pasuje do tej pieczeni.

- Może być - zgodziła się Liberty.

Jedzenie rzeczywiście było wyborne, choć Liberty nie była w stanie w pełni odczuć całej poezji smaków. Była zbyt roztrzęsiona i podekscytowana.

Adam przysiadł się do ich stolika, kiedy popijali kawę. Z ich rozmowy, pełnej skrótów myślowych i aluzji, które obaj w lot pojmowali, dało się poznać, że znają się od lat. Adam był tak samo dowcipny i inteligentny jak Carter, toteż Liberty doskonale się bawiła w ich towarzystwie.

- Jak długo się znacie? - spytała Cartera po tym, jak Adam się pożegnał, znów szarmancko całując jej dłoń.

- Z Adamem? Od małego. Chowaliśmy się razem. Ja, Adam i nasze siostry. Mieszkaliśmy w jednej starej ruinie na przedmieściu. Wiesz, w takim miejscu, z którego dzieciaki lądują w więzieniu, umierają od narkotyków albo się wydostają i harują jak woły, aż zajdą naprawdę daleko. Wóz albo przewóz, nic pośrodku.

- I wyście się wydobyli?

- Na to wygląda. W każdym razie trojgu z nas się udało. W zeszłym roku zmarła Barbara, siostra Adama. Przedawkowała narkotyki. Byliśmy przekonani, że od dawna nie bierze... - Carter pokiwał głową. - Zresztą może naprawdę była czysta, tylko tak jej coś do głowy strzeliło. No, ale ona i Adam nie mieli takiego szczęścia w życiu, jakie się trafiło mnie i Jennifer.

- To znaczy?

- My mieliśmy dobrych rodziców i bezpieczne, spokojne życie.

No tak, pomyślała. Nie ma nic ważniejszego. Pełna szczęśliwa rodzina to podstawa.

Mało brakowało, a znów zaczęłyby się rozczulać nad sobą. Na szczęście w porę się opamiętała.

- Czy twoi rodzice nadal mieszkają w tamtej kamienicy? - spytała.

- Oczywiście, że nie - obruszył się. - Zabrałem ich stamtąd, jak tylko zarobiłem tyle, żebym mógł sobie na to pozwolić. Kupiłem im dom na wybrzeżu. Odkąd pamiętam, marzyli, że kiedyś zamieszkają nad morzem.

Miłość, z jaką mówił o rodzicach, bardzo Liberty wzruszyła. Bardziej niż miała ochotę się przyznać.

- Ale siostra mieszka z tobą w Londynie?

- Na razie. Musi trochę odsapnąć po rozwodzie. - Carter lekko się skrzywił. - Nie wiem, czemu wzięła sobie za męża takiego człowieka. Facet stronił od wszelkiej pracy, a do tego romansował na prawo i lewo. Ma szczęście, że nie porachowałem mu kości.

Liberty pomyślała, że ten człowiek nie ma wyobraźni, jeśli sobie uroił, że pozwoli mu bezkarnie oszukiwać siostrę Cartera Blake'a.

- To teraz porozmawiamy o tobie - Carter uśmiechnął się tak, że Liberty zrobiło się ciepło koło serca. - Już wiem, że jesteś wolna i nie chcesz się z nikim wiązać, a także, że twoi rodzice nie są razem.

Nie mogła się wykręcić od rozmowy o swojej rodzinie, skoro sama bez skrępów wypytywała o jego sprawy.

- Rodzice się rozwiedli, kiedy byłem jeszcze bardzo mała - zaczęła swą opowieść. - Mama znalazła sobie nowego męża. Od tamtej pory już kilka razy miała nowych - dodała, starając się nadać tej historii pozory błahości, co ani trochę jej się nie udało.

Carter aż syknął. Jakby go coś zabolalo. Znał kobiety, choćby takie jak jego własna sekretarka, które nie mogły zajść w ciążę, choć bez wahania oddałyby pół życia, żeby mieć chociaż jedno. Znał też i takie, którym urodzić dziecko było łatwe, a wcale o te narodzone nie dbały. Natura płata ludziom okrutne figle.

Z miny Liberty wyczytał, że należałoby zmienić temat, ale był bardzo ciekaw tej niezwyklej osoby. Za bardzo, żeby już teraz zrezygnować.

- To miałaś trudny początek - powiedział z dobrze udaną obojętnością. - Jak ci się ułożyło z tatą?

- Mój tata jest wspaniały. Zrobił wszystko co w ludzkiej mocy, żeby mi niczego nie brakowało.

- A masz jakieś rodzeństwo? - chciał się dowiedzieć.

Liberty pokręciła głową. Rude włosy zajaśniały w migocącym blasku świecy i Carter znowu poczuł pożądanie.

- Moja mama nie przepada za dziećmi - mówiła Liberty - a tata jest lekarzem. Mimo że miał mnóstwo pracy, to zawsze bardzo się o mnie troszczył. Nie miał czasu ani okazji, żeby poznać jakąś inną kobietę. Dopiero teraz...

- Ta pani, która była z wami w restauracji?

Liberty skinęła głową. Nie miała ochoty rozwijać tego tematu.

- Okropnie jestem ciekaw, jak po tym wszystkim ukształtowały się twoje poglądy na temat miłości, małżeństwa i życia rodzinnego - powiedział, choć miał przeczucie, że chyba odrobinę się zagalopował. - Zazdrościsz innym czy może lubiłaś samotność?

Nie rozumiała, jak można zadać tak osobiste pytanie komuś, kogo się prawie nie zna, choć - z drugiej strony - wcale się nie zdziwiła, że Carter o to spytał. Carter Blake po prostu taki był: zawsze trafiał człowieka w najczulsze miejsce.

Liberty dopiła resztkę wystygłej kawy, ostrożnie odstawiła filiżankę na spodeczek i dopiero potem spojrzała na Cartera.

- Rodzina jest dobra dla ludzi, którzy jej potrzebują - powiedziała. - Dla tych, co uważają, że bez tego ich życie nie ma sensu.

- Rozumiem, że ty do tego gatunku nie należysz - stwierdził.

- Moim zdaniem nie można wymagać od ludzi, żeby przez całe życie byli sobie wierni. To po prostu jest nierealne. - Liberty wzruszyła ramionami. - Właśnie

dlatego uważam, że powoływanie do życia dzieci jest w tych warunkach nieodpowiedzialne, a nawet nieuczciwe. Przede wszystkim wobec tych dzieci.

Carter był człowiekiem niezależnym i nie palił się do stałego związku, ale nigdy dotąd się nie zastanawiał nad zagadnieniem małżeństwa. Jego rodzice od czterdziestu lat byli razem. Jak dotąd ani czas, ani choroby, ani nawet bieda nie zdołały ich rozdzielić, uważał więc, że małżeństwo samo w sobie jest dobre, tyle że nie dla niego.

Jak daleko zdołał sięgnąć pamięcią, zawsze chciał się wydostać z nędzy i samodzielnie dojść do czegoś. Dlatego musiał się skupić na pracy i nie mógł sobie pozwolić na emocjonalne wzloty i upadki. A kiedy wreszcie zarobił pierwszy milion, doszedł do wniosku, że podoba mu się życie bez zobowiązań i to, co z początku było koniecznością, zamieniło się w świadomą decyzję. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za los swych najbliższych, ponieważ tak było mu łatwiej żyć. Nie rozumiał, dlaczego nagle zachciało mu się podać w wątpliwość te wszystkie wartości, którym aż do teraz hołdował?

- A więc polubiłaś samotność - podsumował.

- Niczego nie wybierałam - poprawiła go. - Ja tylko uważam, że jeśli dwoje ludzi nie ma absolutnej pewności, że ich związek przetrwa wszystkie życiowe burze, to nie powinni sprowadzać na świat dzieci. I to jest moje prywatne zdanie. Nikt nie ma obowiązku się z nim zgadzać.

- Moi rodzice pobrali się czterdzieści lat temu - powiedział. - Do dziś dobrze ze sobą żyją i zdaje się, że są szczęśliwi.

Liberty przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- To wspaniale - powiedziała w końcu. - Bardzo się cieszę.

- Trudno się z tobą nie zgodzić. - Carter się do niej uśmiechnął. - Tacy jak oni stanowią pewnie ze dwa procent populacji. Reszta to pozbawieni nadziei nieszczęśnicy.

- Ja tego nie powiedziałam - zaprotestowała.

- Ale tak pomyślałaś.

Rzeczywiście tak właśnie pomyślała. Pomyślała też, że Carter należy do ludzi, którzy wzięli ślub z własnym przedsiębiorstwem, więc nie mają czasu dla rzeczy tak zwyczajnej jak własna żona i dzieci. Co innego kochanki. Na to zawsze znajdzie trochę czasu. W miarę potrzeby, oczywiście.

- Wobec tego jest mi bardzo miło, że przynajmniej w jednej sprawie jesteśmy zgodni. - Liberty się do niego uśmiechnęła.

Z przymusem, ale chyba się nie zorientował.

Gdy wyszli z restauracji, na dworze było już całkiem zimno. Na szczęście Carter wcześniej zamówił taksówkę i teraz czekała na nich tuż przed wejściem.

- Mróz chwycił - powiedział Carter, siadając na tylnym siedzeniu obok Liberty. Nie czekając na odpowiedź, objął ją, przytulił do siebie i pocałował.

Właśnie tak sobie wyobrażała pocałunek: gorący, słodki i przejmujący do szpiku kości. Zadrzała.

- Nie denerwuj się - Carter najwyraźniej wyczuł jej zdenerwowanie. - Myślisz, że cię będę gwałcił w taksówce?

- Nie miałbyś żadnych szans - oburzyła się.

- To miało być wyzwanie? - spoglądał na nią coraz bardziej ubawiony.

- Stwierdzenie.

- Aha. - Carter odgarnął jej z twarzy pasemko rudych włosów. - Zarumieniłaś się - zauważył.

- Jesteś taka miękka i ciepłutka...

Znowu ją pocałował. Liberty nie umiała się oprzeć. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy taksówka zatrzymała się przed jej własnym domem, a i wtedy musiała odczekać co najmniej dziesięć sekund, zanim znów się zorientowała, gdzie jest i co się z nią dzieje.

- A więc tylko stwierdzenie - mruknął Carter.

- Ciekawe... Bardzo ciekawe.

Poczuła się, jakby wylano na nią kubel zimnej wody. Nie tylko dlatego, że Carter otworzył drzwi taksówki i zimne powietrze wtargnęło do nagrzanego wnętrza. Bawił się! Zakpił z niej w żywe oczy!

Nie chciała, żeby pomógł jej wysiąść, sama wyszła z auta na oblodzony chodnik.

- Uważaj - ostrzegł ją, bo omal nie usiadła na śliskiej jak lodowisko ulicy. - Nie chciałbym, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

Powstrzymała się od kąśliwej uwagi, ale tylko dlatego, że kierowca przecież wszystko słyszał.

- Dziękuję, dam sobie radę - powiedziała z wyższością i odepchnęła wyciągniętą rękę Cartera. - Dobranoc. Dziękuję za wspaniałą kolację.

- Odprowadzę cię do drzwi - powiedział.

- Nie trzeba - burknęła Liberty.

Wolałabym, żeby mnie odprowadzał Drakula, pomyślała.

- Ależ oczywiście, że trzeba. Chodnik jest oblodzony, a ty masz pantofle na szpilkach - zauważył rozsądnie Carter.

Nie zamierzała przeciągać tej rozmowy. Z godnością podreptała do domu, ale musiała wytracić rozpęd, kiedy się okazało, że schody są śliskie jak szklanka. Dopiero gdy je pokonała i bezpiecznie stanęła pod drzwiami, odwróciła się do Cartera, który zatrzymał się u stóp schodów.

- Raz jeszcze ci dziękuję - powiedziała tonem lodowatym jak powietrze na dworze. - Dobranoc.

- Dobrej nocy, Liberty. - Jej złość nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Wsiadł do taksówki, ale jeszcze nie kazał ruszać.

Liberty otworzyła drzwi, weszła do domu, zamknęła je za sobą i dopiero wtedy usłyszała odjeżdżający samochód.

- Cóż to za wstrętny człowiek - powiedziała na głos. Odczuwała tyle emocji,

że nawet nie próbowała żadnej z nich nazwać.

Popatrzyła na wazon z kwiatami od Cartera i bez żadnego powodu wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czemu ja się tak zatraciłam? Dlaczego nie poprzestałam na pocałunku w policzek i jak ja mu teraz spojrzę w oczy? Co on sobie o mnie pomyśli? - zastanawiała się po raz pierwszy tego ranka.

Przez całą bezsenną noc zadawała sobie to pytanie, przez całą noc przypominała sobie - minuta po minucie - wydarzenia minionego wieczoru. Odpowiedź była prosta jak drut: pomyśli, że Liberty jest osobą bez charakteru.

Pewnie dlatego nie zaproponował, żeby się jeszcze kiedyś spotkali. Oczywiście, nie zgodziłaby się na żadne takie spotkanie, ale miło by było móc odmówić. Nawet tej malutkiej radości została pozbawiona! Co gorsza, miała uczucie, że Carter odniósł zwycięstwo, choć nie kiwnął nawet małym palcem.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Wyglądała okropnie: zapuchnięte oczy, zaczerwieniony nos... Koszmar! A przecież to nie koniec świata! Owszem, zrobiła z siebie idiotkę, ale nie ona pierwsza i na pewno nie ostatnia.

Za parę tygodni całkiem o tym zapomnę, pocieszała się.

Poszła do kuchni, żeby sobie zaparzyć kawę. Koniecznie słodką i z mlekiem. Zamierzała odpocząć, przeleniuchować całe przedpołudnie, zanim będzie się musiała zabrać do pracy, którą sobie przyniosła z kancelarii. A potem ciepła kąpiel w pachnącej pianie, świece wokół wanny i kieliszek dobrego wina w dłoni. Tak, trzeba się trochę porozpieszczać. I koniecznie wcześniej pójść spać, żeby nowy tydzień rozpocząć w jak najlepszej formie.

Ukroiła sobie kawałek ciasta i razem z kawą zaniósła do salonu. Postanowiła nie myśleć więcej o Carterze, spokojnie poczytać gazetę, побыć trochę sama ze so-

bą.

Przeczytała może dwie linijki, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Ani trochę jej to nie zdziwiło. Już dawno oznajmiła przyjaciółom, że w niedzielę rano zawsze jest sama w domu, więc jeśli ktoś będzie miał ochotę, może ją wtedy odwiedzić bez uprzedzenia. Od początku wiosny do późnej jesieni prawie każdej niedzieli miała gości. Niektórzy jechali z nią potem na obiad do tatusia, bo pani Harris zawsze gotowała takie ilości, że można by tym nakarmić pułk wojska. Jednak w tym tygodniu uprzedziła ojca, że nie przyjedzie na obiad. Wyłgała się nawąłem pracy, choć w rzeczywistości chodziło o to, żeby mu nie przeszkadzać podczas pierwszego weekendu z Joan.

Otworzyła drzwi i uśmiech na jej twarzy zmienił się w wyraz bezbrzeżnego zdumienia. W progu stał Carter Blake, przystojny jak marzenie.

- Cześć - powiedział takim tonem, jakby się spodziewał, że Liberty go oczekiwała. - Co tu tak pięknie pachnie? Kawa?

- Skąd się tutaj wzięłeś?

Carter też zadawał sobie to pytanie. Odwołał lunch, na który umówił się już tydzień temu i doprowadził do szału swego partnera od golfa tylko po to, żeby się spotkać z kobietą, która nie chciała go widzieć.

- Znajomy odwołał spotkanie - skłamał - więc pomyślałem sobie, że moglibyśmy zjeść razem lunch. Nie cierpię jadać samotnie.

Kłamie, pomyślała Liberty. To człowiek, któremu jest całkiem obojętne, czy ma jakieś towarzystwo czy nie.

A więc jednak chciał ją jeszcze zobaczyć. Nawet przyszedł, żeby się z nią zobaczyć. A ona wyglądała okropnie i miała na sobie stare dzinsy i znoszony sweter.

- Niestety, mam dziś mnóstwo pracy - powiedziała. Była zadowolona, że jednak ma okazję mu odmówić. - Muszę przygotować na jutro ważne dokumenty.

- To nie potrwa długo - przekonywał ją Carter.

- Wejdz - powiedziała.

- A mogłabyś mi zrobić kawy? - Uśmiechnął się rozbrajająco.

Ledwo wszedł do środka, mały domek skurczył się do lilipucich rozmiarów. A kiedy zszedł za nią na dół do kuchni, Liberty tak się zdenerwowała, że omal nie rozbiła dzbanka. Nie wiedziała, jak to się dzieje, że za każdym razem, kiedy go widzi, Carter jest coraz wyższy i coraz bardziej ją fascynuje.

- Mam tylko rozpuszczalną - powiedziała i odwróciła się.

Wtedy się okazało, że Carter stoi tuż przy niej. Był ogromny. W każdym razie jej się tak zdawało.

- I dobrze. - Chyba nie zauważył, jaka jest przejęta, bo rozsiadł się na kuchennym taborecie i z uznaniem rozglądał po kuchni. - Ten dom jest taki jak ty - powiedział.

Liberty nie wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Czy miał to być komplement? A może ją skrytykował?

Spojrzała na niego i Carter widocznie dostrzegł w jej oczach niezadane pytanie, bo roześmiał się głośno, swobodnie.

- Jest niezwykle, piękny, spokojny i odrobinę staroświecki - wyjaśnił.

Oszalał, pomyślała Liberty. Ja wcale nie jestem taka.

- Dziękuję - powiedziała i uśmiechnęła się. Sama nie wiedziała dlaczego.

- No, teraz lepiej - pochwalił Carter. - Lubię cię, Liberty, i coś mi się zdaje, że ty też byś mnie polubiła, gdybyś tylko zechciała spróbować. Bo widzisz, w głębi duszy jesteśmy do siebie podobni.

- Ani trochę - zaprotestowała.

- Owszem, nawet bardzo. - W jego głosie była żartobliwa nuta, ale spojrzenie miał poważne.

Pogłaskał ją delikatnie po policzku, a Liberty ze wszystkich sił starała się przywołać uczucie gniewu, jakie nią owładnęło poprzedniego wieczoru. Nie udało się. Wczoraj to było wtedy, a teraz...

- Chcesz, żeby związek był uczciwy i ja też bym tak chciał. Nie szukasz kandydata na męża, a ja nie chcę mieć żony. Zabawa w dom i dzieci cię nie interesuje i mnie także się nie podoba - wyliczał, a jego dłoń przesuwiała się coraz niżej, na szyję Liberty. - Mam mówić dalej, czy już starczy?

- Starczy, ale...

Nie pozwolił dokończyć zdania, tylko ją pocałował. Zrobił to tak słodko, że potem Liberty nie umiała sobie przypomnieć, co właściwie chciała mu powiedzieć. Bała się, że sobie nie poradzi. Carter przywykł do kobiet, które traktują seks jak picie herbaty: bez zastanowienia idą z kimś do łóżka, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Liberty była całkiem inna.

- To nie jest takie proste. - Cofnęła się o krok. - Ja nie potrafię... To znaczy... To wszystko prawda, co wczoraj powiedziałam, ale nie pójdę do łóżka tylko dla przyjemności. Dla mnie musi to być coś ważnego.

- Dla mnie też - powiedział cicho Carter.

- Ale mnie chodzi o to... - Nie do końca wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła pojąć, jakim cudem jej życie tak bardzo się odmieniło w ciągu dwóch krótkich dni.

Carter ją obserwował. Zastanawiał się.

Wczoraj mi powiedziała, że zawsze sypia sama, pomyślał. Czyżby to miało znaczyć... Nie, to niemożliwe. Taka śliczna dziewczyna musiała już choć raz się z kimś kochać.

- Spróbuję ci to wytłumaczyć. - Liberty wzięła głęboki oddech. - Moja matka jest właśnie w trakcie rozwodu ze swoim piątym mężem. Nie życzył sobie, żeby sypiała z jego współnikiem, a ten nieszczęsny współnik zachował się jak świnia. Nie chciał odejść od żony ani zostawić dzieci, co w zasadniczy sposób pokrzyżowało plany mojej matce. Ona zawsze dąży do góry. Rozumiesz? Codziennie przez wiele godzin się gimnastykuje, wydaje majątek na usuwanie zmarszczek, a przy tym wcale nie szanuje własnego ciała. Każdy ją może kupić, jeśli ma wystarczająco zasobne konto w banku i wysoko postawionych przyjaciół.

Carter nie miał pojęcia, co powiedzieć, choć dotąd był przekonany, że na wszystko znajdzie odpowiedź.

- Ja nie potrzebuję do szczęścia żadnego mężczyzny - mówiła Liberty ze świetnie udaną obojętnością. - Doskonale sobie radzę sama i dobrze mi z tym. Jeśli moje zachowanie sugerowało ci co innego, to jest mi z tego powodu bardzo przykro.

- Nienawidzisz jej? - zapytał bardzo cicho.

- Słucham? - Pytanie Cartera zupełnie zbiło ją z tropu.

- Swojej matki. Czy bardzo jej nienawidzisz za to, że zostawiła cię dla pieniędzy?

Pożałowała, że mu opowiedziała o swym nieszczęściu, ale stało się i teraz Carter już wiedział. A jednak to trochę dziwne, kiedy ktoś całe życie człowieka ujmie w jednym dosadnym zdaniu.

- Próbowałam - przyznała po bardzo długiej chwili gęstego jak smoła milczenia. - Bardzo chciałam ją znienawidzić, ale się nie udało. Nie umiem nienawidzić własnej matki. Kocham ją, ale jej nie lubię.

- Więc dlaczego pozwalasz, żeby to jej postawa była dla ciebie wzorem? Czemu nie wzorujesz się na swoim tacie?

- Co ty wygadujesz? - obruszyła się Liberty. - Tata jest wspaniałym człowiekiem.

Nie rozumiała. Carter musiał jej to wytłumaczyć.

- Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że twoja mama nie jest, powiedzmy, przesadnie moralną osobą, a twój tata to jej przeciwieństwo. Mimo to ty osądzasz mężczyzn, małżeństwo i w ogóle życie przez pryzmat rozczarowań, jakich ci dostarczyła matka. Czemu nie bierzesz pod uwagę dobra, jakiego doświadczyłaś od ojca?

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - wybuchnęła Liberty. Takiej złości jak teraz nie czuła od wielu lat. - Nie znasz ani mnie, ani moich rodziców.

- Fakt - przyznał. - I właśnie dlatego stać mnie na obiektywną opinię.

Miała ochotę rzucić w niego czymś ciężkim.

- Chcę, żebyś sobie poszedł - powiedziała cichutko - i żebyś już nigdy więcej nie musiała na ciebie patrzeć.

- A ja mam wielką ochotę cię rozebrać. Najpierw bym się na ciebie napatrzył, potem bym cię pieścił, a w końcu kochał się z tobą aż do utarty sił - mówił obojętnie, jakby opowiadał o wczorajszej pogodzie. - Sama widzisz, jak trudno jest dostać to, na czym człowiekowi najbardziej zależy.

Uraził ją do żywego, a mimo to miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Co prawda histerycznym, ale jednak śmiechem. Pierwszy raz w życiu miała do czynienia z kimś takim jak Carter Blake.

- Ja teraz zaparzę sobie kawę, a ty przez ten czas idź się przebrać - zaproponował Carter. - Tu niedaleko jest pub, gdzie podają rewelacyjną zapiekankę z cynaderek i deser malinowy z taką ilością likieru, że nie powinno się po tym siadać za kierownicą.

Bał się, że mu odmówi i naprawdę każe mu się wynosić, ale skinęła głową. Nie od razu, ale jednak przyjęła propozycję.

Wyszła z kuchni, a Carter zaparzył sobie mocną czarną kawę, usiadł na wysokim barowym taborecie.

Pomyślał, że Liberty jest bardzo delikatna jak na osobę, która chce uchodzić za zimną i twardą. Brakowało jej wiary w siebie, co było tym dziwniejsze, że wybrała sobie zawód adwokata. Była pełna kontrastów, a przecież on dopiero zaczął ją poznawać.

Zastanawiał się, czy powinien dać tej dziewczynie spokój, skoro tak naprawdę nie miał jej nic do zaoferowania. Ale przecież powiedział, jak się sprawy mają. Postąpił wobec niej uczciwie, więc powinna wiedzieć, na czym stoi. Najgorsze, że nie mógłby teraz od niej odejść. Zalazła mu za skórę, ot co. Nie wiedział, jak to się stało, ale teraz trzeba było się z tym uporać.

Odkąd wydorósł i stać go było na każdą kobietę, nie miał erotycznych fantazji. Dopiero kiedy poznał Liberty... Nawiedzała jego myśli w dzień i w nocy, nie pozwalała mu ani spać, ani spokojnie pracować. Nie podobało mu się to wszystko, ale nie potrafił nad sobą zapanować.

Po namyśle postanowił pozostawić sprawy własnemu biegowi i zobaczyć, jak się to wszystko ułoży.

Carter wcale nie przesadził, kiedy zachwalał jedzenie w pubie, do którego ją zaprowadził. Wszystko tu było smakowite, aż ślinka leciała na sam widok rozmaitych potraw.

Jeszcze parę takich wyjść z Carterem i będę wyglądała jak balon, pomyślała Liberty.

- Skąd ty znasz tyle lokali z doskonałym jedzeniem? - zapytała.

- To jest dopiero drugi. - Carter się do niej uśmiechnął. - Zostało jeszcze mnóstwo innych restauracji.

Liberty wcale nie była pewna, czy chce się nadal spotykać z Carterem. Czowała przez skórę, że jeśli Carter Blake zagnieździ się w jej życiu, to niełatwo będzie wypełnić pustkę, jaka zostanie po jego odejściu.

- Uważam, że jedzenie to jedna z największych życiowych przyjemności - mówił Carter. - Może dlatego, że w dzieciństwie jadałem głównie to co tanie i syćące. Mama dbała, żebyśmy nie chodzili głodni, więc i tak mieliśmy lepiej niż większość dzieci na naszej ulicy, ale chleb, ziemniaki, a nawet naleśniki dość szybko powszednieją.

- A nie chciałeś zostać kucharzem jak Adam?

- A wyobrażasz mnie sobie w fartuchu i wysokiej czapie?

- Nie bardzo - przyznała.

- No właśnie. - Carter dopił kawę. - Żałuję, że Jen za niego nie wyszła. Za Adama - dodał na wszelki wypadek, gdyby Liberty się nie domyśliła. - Od zawsze coś między nimi było. Zdawało się, że kiedyś będą parą.

- Dlaczego nie są? - zaciekawiała się.

- Bo ja wiem? - Carter wzruszył ramionami. - Adam skończył szkołę gastro-nomiczną. Dniami i nocami pracował w różnych restauracjach, a kiedy postanowił pójść na swoje, też harował jak wół, z tą tylko różnicą, że u siebie. Moja siostra pojechała na uniwersytet i przywiozła sobie stamtąd jakiegoś narzeczonego, więc Adam też sobie kogoś znalazł. Wiesz, takie głupie gierki. A potem wszystko jakoś wymknęło się spod kontroli.

- Jen wyszła za mąż za innego?

- No właśnie - przytaknął. - Po jej ślubie Adam umawiał się z coraz to innymi dziewczynami i z dnia na dzień coraz więcej pił, ale za nic na świecie by się nie przyznał, że przegapił sprawę z Jennifer. Dziwna rzecz ta ludzka natura, nie sądzisz?

- No tak, ale teraz Jen jest znowu wolna - zauważyła Liberty. - Nie mogliby się jakoś dogadać? Oczywiście jeśli nadal się lubią.

- A kto to może wiedzieć? - Carter się zasepił. - Adam dotąd nie zrobił nic w tym kierunku i Jen też jakoś się nie kwapi. No nic, wkrótce się przekonamy, jak się to wszystko skończy. Spotkają się za miesiąc na przyjęciu, które wyprawiam rodzicom z okazji czterdziestej rocznicy ich ślubu. Ty także jesteś zaproszona - dodał jakby przy okazji. - Postaraj się mieć cały weekend wolny.

Chwilę trwało, nim Liberty otrząsnęła się z zaskoczenia.

- Czemu zapraszasz mnie na rocznicę ślubu rodziców? - spytała. - Przecież oni nawet mnie nie znają. Będę tylko wszystkim przeszkadzała.

- Jesteś moim gościem, więc o żadnym przeszkadzaniu nie ma mowy - zapewnił ją Carter.

Liberty czuła, że wszystko dzieje się za szybko i cała sytuacja wymyka się spod kontroli.

- Wobec tego dziękuję za zaproszenie - powiedziała. - Bardzo chętnie z tobą pojedę, jeśli tylko nie będę musiała tego dnia pracować.

Obiecała sobie, że na pewno zdoła wymyślić jakąś bardzo pilną i niespodziewaną pracę, którą koniecznie trzeba wykonać na dzień tuż po przyjęciu.

- Jasne - powiedział Carter. Rozumiał, że Liberty zostawiła sobie otwartą furtkę, by w każdej chwili można się było wycofać. Trochę go to nawet zezłościło, ale nie dał niczego poznać po sobie. - Tylko zawiadom mnie z wyprzedzeniem, gdyby jednak coś ci wypadło.

- Oczywiście - obiecała zadowolona, że Carterowi wcale aż tak bardzo na jej obecności nie zależy.

Zadowolona, a przy tym odrobinę rozczarowana. Naprawdę zupełnie siebie nie rozumiała. Przecież nie chciała się wiązać z Carterem, więc co za różnica, czy jemu zależy, czy nie.

Potem rozmowa zesłała na bardziej obojętne i dużo bezpieczniejsze tematy. Liberty opowiedziała, jak doszło do tego, że sobie kupiła dom, a Carter jej opowiedział, jak zmienił starą fabrykę asfaltu w luksusowe mieszkanie z czterema sypialniami.

- Może byś wpadła je obejrzeć - zaproponował, gdy już mieli wychodzić z pubu. - Jen wybrała się na lunch z przyjaciółmi, ale lada chwila powinna wrócić.

Należało odmówić. Po pierwsze, dlatego że tym samym udowodniłaby (przynajmniej sobie samej), że wciąż jeszcze panuje nad sytuacją. Po drugie, w domu rzeczywiście czekało na nią sporo pracy. Po trzecie, gdyby się zgodziła pojechać do jego mieszkania, Carter mógłby sobie pomyśleć, że Liberty chciałyby się o nim czegoś dowiedzieć, a przecież wcale nie była go ciekawa. To znaczy była, ale za nic by się do tego nie przyznała.

- Dobrze, ale tylko na chwileczkę - zastrzegła się, choć wiedziała, że będzie tego żałować. - Naprawdę muszę dziś jeszcze popracować.

- Ciągłe tylko pracujesz i pracujesz. Czy ty w ogóle nigdy się nie bawisz?

- Ależ bawię się. W miarę wolnego czasu, oczywiście.

- Miło mi to słyszeć - powiedział kpiąco, jakby nie wierzył w ani jedno słowo Liberty.

Postanowiła udać, że tego nie dostrzegła. W milczeniu wsiadła do mercedesa i nie odezwała się ani słowem, póki nie podjechali pod dom Cartera.

Dom był ogromny. Przerazająco kosztowny, jeśli się znało cenę metra kwadratowego ziemi pod zabudowę w Londynie. Ogrodzona wysokim murem posesja mieściła nie tylko dom, ale i dziedziniec z fontanną oraz osobny budynek, gdzie znajdowały się garaże.

Do domu prowadziły wielkie drewniane drzwi, przez które wchodziło się do przestronnego holu z drewnianą podłogą i ogromnymi wiszącymi schodami pośrodku. Jedna ze ścian składała się prawie wyłącznie z okien sięgających od podłogi aż do sufitu i oddzielonych od siebie zaledwie wąskimi fragmentami muru. Podłoga z jasnego drewna, kremowe zasłony i obicia mebli robiły mocne wrażenie.

Typowe kawalerskie mieszkanie, pomyślała Liberty. No i co w tym dziwnego? Przecież Carter jest typowym kawalerem. Może tylko bogatszym od przeciętnego.

- Moja siostra jeszcze nie wróciła - powiedział Carter. Pomógł Liberty zdjąć płaszcz, położył go na jednej z dwóch przestronnych kanap. - Chodź, oprowadzę cię po domu. Ciekaw jestem, czy ci się spodoba.

Kawalerskie gospodarstwo Cartera składało się z jadalni, kuchni, pomieszczenia gospodarczego i gabinetu na parterze, trzech sypialni z łazienkami dla gości oraz luksusowej sypialni gospodarza na piętrze, a także basenu, sauny i sali gimnastycznej w piwnicy.

Wszystkie ściany wyłożono białym marmurem. Nie było tu żadnych ozdób ani bibelotów, tylko czysta, zimna architektura w najdoskonalszej formie. W każdym pokoju znajdowała się mała zgrabna konsola, za pomocą której ustawiało się system bezpieczeństwa, temperaturę, oświetlenie, a nawet włączało muzykę i telewizor.

Luksus najwyższej próby i żadnych osobistych akcentów, pomyślała Liberty. Jak w hotelu.

- Nie podoba ci się - domyślił się Carter.

- Bardzo mi się podoba - skłamała Liberty, choć wyraźnie słyszała, że to nie było pytanie, lecz stwierdzenie oczywistego faktu. - Czemu miałby mi się nie podobać? Taki wspaniały dom...

- Nie kłam. - Carter się uśmiechnął. - Nie obrażę się. Jennifer też nie lubi tego domu.

- Ale mnie się podoba, tylko...

- Tylko co? - Carter był szczerze ubawiony jej zakłopotaniem.

- Bo ja wiem... - Liberty wzruszyła ramionami. - Jakoś tak głupio mieszkać w takim ogromnym, prawie pustym domu.

- Kiedy byłem mały, zajmowaliśmy bardzo ciasne mieszkanie. - Carter spoważniał. - Ten dom jest zadośćuczynieniem za tamtą ciasnotę.

Przygarnął ją do siebie, pocałował. Liberty było tak dobrze w jego ramionach, że ani myślała protestować. Poddała się czulej pieściwie jego ust, zagubiła się w ramionach Cartera.

- Już jestem - rozległ się od wejścia kobiecy głos. - Jedzenie było obrzydliwe. Muszę sobie...

Liberty opamiętała się już po pierwszym dźwięku tego głosu. Zdążyła obciągnąć bluzkę i przygładzić włosy, więc to nie jej wygląd, lecz spojrzenie Cartera sprawiło, że jego siostra urwała w pół słowa.

- Cześć, siostrzyczko - odezwał się Carter, który też już doszedł do siebie. - To jest Liberty. Liberty, poznaj moją siostrę Jennifer.

- Przepraszam, nie wiedziałam... - Jen była zbyt zaskoczona, żeby zachować się taktownie. - Rany! Chciałam powiedzieć...

- Chyba wiemy, co chciałaś powiedzieć - Carter wybawił ją z zakłopotania. - Przywitaj się.

- Cześć. - Jennifer uściśniła dłoń Liberty.

- Mam nadzieję, że wasz lunch był smaczniejszy niż mój. Mięso żylaste, ziemniaki twarde jak kamienie, a wszystko zimne jak z lodówki.

- A to pech. - Carter ani trochę się nie przejął.

- A może napijesz się kawy? - Jennifer zwróciła się do Liberty, jakby były tutaj całkiem same.

- Dziękuję. - Liberty pokręciła głową. - Naprawdę muszę już uciekać.

- Nie idź jeszcze. - Jen wyciągnęła do niej obie dłonie. Mówiła takim tonem, jakby rzeczywiście żałowała, że Liberty gdzieś się spieszy. - Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie poznam kobietę, która zrobiła takie wielkie wrażenie na moim bracie.

- Jen - ostrzegł siostrę Carter.

- Naprawdę muszę zaraz wracać do domu - upierała się Liberty, zakłopotana i czerwona ze wstydu. - Wpadłam tylko na chwilę, żeby obejrzeć dom.

- Sterylny i pełen zabawek dla dużych chłopców. - Jennifer się uśmiechnęła. - Mam nadzieję, że mój brat kiedyś z tego wyrośnie.

- Pożegnaj się, Jen - upomniął ją starszy brat.

- Do zobaczenia - powiedziała posłusznie Jennifer. Najwyraźniej mina Cartera przekonała ją, że posunęła się trochę za daleko. - Cieszę się, że w końcu cię poznałam.

- Miła ta twoja siostra - powiedziała Liberty, ale dopiero gdy wyjechali za bramę.

- Nie powiedziałbym tego o Jen - burknął, wciąż nadąsany. - W każdym razie nie dzisiaj i nie teraz.

- Chyba nie pomyślała sobie...

- Że co? Żeśmy się całowali? Przecież to najprawdziwsza prawda. A w ogóle czemu cię obchodzi, co sobie moja siostra pomyśli? Wie, że się spotykamy, więc to chyba najzupełniej normalne.

Spotykamy się? Ciekawe, kto i kiedy tak postanowił.

- Posłuchaj - zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

- Tak, spotykamy się, ty i ja - stwierdził z mocą. - Zapewne twój inteligentny umysł wymyślił już z tysiąc powodów, dla których coś takiego nie powinno się zdarzyć, ale zapewniam cię, że to się właśnie dzieje. Ja chcę się spotykać z tobą, a ty chcesz spotykać się ze mną. To jest takie proste.

Co za bezczelność, pomyślała Liberty. Spróbowała znaleźć w sobie złość i oburzenie, które - była tego pewna - powinna w tej chwili odczuwać, ale niczego nie znalazła. Naprawdę chciała widywać Cartera. Potrzeba była tak silna, że omal nie bolała, ale była też bardzo niebezpieczna, a Liberty nie lubiła igrzać z niebezpieczeństwem.

- Nie proszę cię o nic, prócz tego co możesz mi dać - mówił Carter spokojnym tonem.

- To znaczy, że zostaniemy przyjaciółmi? - spytała niepewnie.

- Przyjaciółmi? Skarbie, to co do ciebie czuję, to na pewno nie jest zwykła przyjaźń. Adam jest moim przyjacielem. Z tobą to zupełnie co innego.

- Niech ci będzie - zgodziła się. - Ale ja nie chcę żadnych poważnych związków. Nie jestem na to gotowa.

- I dobrze. - Carter na moment oderwał wzrok od szosy, zerknął na zaróżowioną z przejęcia twarz Liberty. - Niejedno mam na sumieniu, ale nigdy żadnej kobiety do niczego nie zmuszałem. Jeśli nic nam z tego nie wyjdzie, to trudno, a jeśli wyjdzie... - Wzruszył ramionami. - Przekonamy się. Zgoda?

To była rozsądna propozycja. Rozsądna i uczciwa. Więc czemu Liberty odczuwała strach? Pewnie z przyzwyczajenia.

- Zgoda - powiedziała wreszcie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kolejne trzy tygodnie to był najpiękniejszy okres w jej życiu. Liberty i Carter wszystkie wieczory spędzali razem, a czasami także wybierali się razem na lunch. Bywały takie dni, gdy Liberty się zastanawiała, co takiego robiła przedtem, zanim Carter zaczął jej wypełniać cały wolny czas. Nie mogła sobie przypomnieć.

Chodzili razem na spacer, do restauracji, do teatru, do kina, zwiedzali muzea i galerie, rozmawiali i śmiali się do upadłego.

Czasami Liberty robiła obiad w domu, czasami jadali u Cartera, bardzo często razem z Jennifer. Liberty polubiła siostrę Cartera do tego stopnia, że bez wahania zgodziła się jej towarzyszyć w oględzinach mieszkania, które sobie Jen wynalazła.

- Nie ma sensu prosić o to mojego brata. - Jennifer zabawnie zmarszczyła nos, co zawsze robiła, kiedy miała coś ważnego do powiedzenia. - On ma zupełnie inny gust niż ja. Chciałby, żeby mieszkanie było puste, a meble i inne sprzęty wychodziły ze ścian za naciśnięciem guzika.

Dwupokojowe mieszkanie znajdowało się w Kensington na pierwszym piętrze. Było jasne, z oknami wychodzącymi na park, ale zimne i zupełnie bez wyrazu. Jennifer powiedziała agentowi nieruchomości, że zastanowi się i nazajutrz zawiadomi go o swojej decyzji, po czym zaprosiła Liberty na lunch.

- Wiesz, że on ma fioła na twoim punkcie? - powiedziała Jennifer, kiedy czekały na zamówione jedzenie. - Pierwszy raz w życiu widzę, żeby mu na kimś tak bardzo zależało.

Liberty zdążyła się już przyzwyczać do bezpośredniego sposobu bycia Jennifer, ale te słowa bardzo ją zaskoczyły.

- Ja też go lubię - powiedziała w nadziei, że to zakończy temat.

- Daj spokój, Liberty. Lubić to możesz tort czekoladowy, albo, na przykład, mnie, ale nie kogoś takiego jak Carter. Mój brat to taki facet, którego się kocha albo nienawidzi. Nic pośrodku.

- Gdybym go nienawidziła, to bym się z nim nie spotykała - zauważyła rozsądnie Liberty. Nie podobał jej się kierunek, jaki przyjęła ta z pozoru całkiem niewinna rozmowa.

- Nie gniewaj się i nie zbywaj mnie byle czym - poprosiła Jennifer. - Ja to powiedziałam tylko dlatego, żebyś czegoś ważnego nie przegapiła. Jeśli czujesz do Cartera coś więcej niż tylko sympatię, to koniecznie mu o tym powiedz. Nie chcę, żebyś zrobiła takie głupstwo jak ja kiedyś.

- Nie rozumiem.

- Zawaliłam sprawę z Adamem - przyznała Jennifer. - Wiem, że mnie lubił i myślałam, że kiedyś będziemy razem. A potem pojechałam na studia. Adam ani razu nie napisał, nigdy nie zadzwonił, jakbym w ogóle nie istniała. Myślałam... Bo ja wiem... - Jennifer wzruszyła ramionami. - Miałam wrażenie, że nic go nie obchodzi.

- Carter mi powiedział, że Adam też się uczył i ciężko pracował, by zarobić na chesne - przypomniała sobie Liberty.

- Wtedy wcale mi to nie przyszło do głowy - przyznała Jennifer. - Byłam młoda i głupia. W każdym razie wymyśliłam sobie, że jak stanie się trochę zazdrosny, to prędzej się zdecyduje.

- Nie zadziało? - spytała Liberty.

Wolała się nie przyznawać, że słyszała tę historię od Cartera.

- Nie wyszło - przyznała Jennifer. - Adam zaczął się umawiać z dziewczynami i wszystko tak się pogmatwało, że nie chciał mnie już więcej widzieć.

- A może poczuł się zdradzony? Nie pomyślałaś o tym?

- Cały czas o nim myślałam. Nawet w dniu swojego ślubu myślałam o Adamie. Ale był jeszcze tamten facet, dla którego byłam całym światem. W każdym razie wtedy tak mi się zdawało - Jennifer uśmiechnęła się smutno. - Tak czy siak, tanto to już przeszłość. Opowiadam ci to wszystko tylko po to, żebyś nie palnęła takiego samego głupstwa jak ja. Gdybym wtedy powiedziała Adamowi, co do nie-

go czuję, to przynajmniej bym się dowiedziała, jak sprawy stoją, a tak... Do końca życia będę się zastanawiać, co by było gdyby. Nie chcę, żebyś zmarnowała życie sobie i Carterowi. Wiesz, ja bardzo kocham swojego brata.

- Rozumiem. - Liberty skinęła głową. - Obiecuję ci, że zapamiętam tę przestrożę.

- Oczywiście przyjedziesz na rocznicę ślubu rodziców? - upewniła się Jennifer. - Adam też się pojawi i pewnie przywiezie ze sobą którąś ze swoich narzeczonych. Chciałabym, żeby choć jedna osoba była wtedy po mojej stronie. Nigdy nie rozmawiałam o tym z Carterem, bo on i Adam przyjaźnią się od zawsze, ale mam wrażenie, że mój brat uważa, że mam to, na co sobie zasłużyłam.

- Na pewno nie - powiedziała Liberty. Uznała, że lepiej będzie nie informować Jennifer, że Carter doskonale wie, jak sprawy się mają.

- Pojedź z nami, Libby - nalegała Jennifer. - Zobaczysz, będzie fajna impreza.

Liberty skinęła głową. Nie miała ochoty uczestniczyć w tej uroczystości i zamierzała w ostatniej chwili wymówić się nawałem zajęć, ale nie potrafiła odmówić Jennifer.

Przyjęcie miało się odbyć w hotelu w pobliżu miejsca zamieszkania starszych państwa Blake, a co za tym idzie, trzeba by było zostać na noc. Jednak nie to napełniało Liberty obawą. Przerażała ją perspektywa spotkania z rodzicami Cartera i z całą resztą jego krewnych i przyjaciół. Nie chciała go oglądać w roli kochającego syna, bo - tak się obawiała - musiałaby zmienić przegródkę, w jakiej go umieściła. Woląла nadal myśleć o nim jak o kobieciarzu i człowieku światowym, który dla rozrywki zainteresował się taką szarą myszką jak Liberty Fox.

Wróciwszy do pracy, Liberty siadła przy biurku. Wpatrywała się w rozłożone tam dokumenty, ale nic nie widziała. Rozmowa z Jennifer bardzo ją poruszyła. Powinna być zadowolona, że przez czas ich znajomości Carter nie spotkał się z żadną inną kobietą, ale ją właśnie to najbardziej niepokoiło. Już od jakiegoś czasu starała się znaleźć w nim cokolwiek, co by jej się nie podobało. Bez skutku. Gdyby chciał

ją zaciągnąć do łóżka, Liberty natychmiast zerwałaby znajomość, ale Carter był doskonały. Dokładnie taki jak trzeba. Wspaniały.

Czy ja się w nim przypadkiem nie zakochałam? - pomyślała.

To pytanie już od jakiegoś czasu chodziło jej po głowie, a rozmowa z Jennifer sprawiła, że nie dało się go dłużej zostawiać bez odpowiedzi. Na szczęście odpowiedź była negatywna. Liberty nigdy by sobie nie pozwoliła na miłość do takiego bawidamka jak Carter Blake. To byłaby głupota, a Liberty wcale nie była głupia. Owszem, lubiła spędzać czas w towarzystwie Cartera, ale zakochać się? Nie ma mowy!

Przyjęcie miało się odbyć za trzy dni. Liberty zdecydowała, że pojedzie, ponieważ obiecała to Jennifer, ale potem definitywnie zakończy tę niebezpieczną znajomość. Lepiej niż ktokolwiek inny zdawała sobie sprawę, że wyłącznie dzięki Carterowi dotąd nie poszła z nim do łóżka. Co gorsza, Liberty już nie umiała sobie wyobrazić życia bez Cartera. A przecież nie chciała tego. Ona nikogo do szczęścia nie potrzebowała. Na wszystko umiała sobie sama zarobić. W niczym nie przypominała swojej matki i nie chciała się angażować w związki, w których tylko jedna ze stron może odnieść zwycięstwo, a druga traci wszystko, z szacunkiem do siebie włącznie.

Trzeba jak najszybciej zakończyć tę znajomość, postanowiła Liberty. Na przyjęciu jeszcze muszę być, ale dzisiejsze spotkanie mogę bez problemu odwołać. Nawet powinnam. Ostatnio paskudnie zaniedbałam swoją pracę, a przecież nie mogę sobie na to pozwolić, jeśli chcę kiedykolwiek zostać współnikiem w swojej kancelarii.

Carter przyglądał się słuchawce telefonu, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Znowu musi dłużej zostać w pracy. Drugi raz w tym tygodniu. Kogo ona chce oszukać?

Zerwał się na równe nogi, przemierzył gabinet tam i z powrotem. Przypo-

mniał sobie, że trzeba odwołać rezerwację stolika u Adama.

Zaraz, zaraz, a po co odwoływać?

Był głodny. Wprawdzie nie mógł zmusić Liberty, żeby razem z nim poszła na kolację, ale on powinien zjeść coś dobrego. Dlaczego miał siedzieć w domu i słuchać, jak mu burczy w brzuchu?

Ledwo powiedział kelnerowi, że będzie tego wieczoru sam, a już po chwili z kuchni wynurzył się Adam.

- Problemy? - spytał, siadając na pustym miejscu obok przyjaciela.

- Musi dziś dłużej pracować. - Carter się lekko skrzywił.

- I?

- I kropka.

- Jasne. - Adam skinął głową. - Ale uspokój się. Szkoda nerwów.

- Czy ty czasem nie powinienes być teraz w kuchni? - zapytał poirytowany Carter.

- Przyjąłem nowego kucharza - Adam się uśmiechnął. - Wreszcie mogę sobie na to pozwolić. Będę miał trochę więcej czasu, co niedługo może mi się przydać. Choćby w najbliższy weekend. Jak myślisz, mógłbym zostać na noc z soboty na niedzielę.

- Mógłbyś - potwierdził Carter.

- Nie ciesz się aż tak bardzo - kpił z niego przyjaciel. A ponieważ Carter nawet się nie uśmiechnął spytał: - Co ci dać do jedzenia?

- Na przystawkę szynkę z groszkiem, a potem dorsza pod beszamelem - odparł Carter z tą samą jednostajnie ponurą miną.

- Robi się. - Adam zerwał się z krzesła.

Może i dobrze, że Liberty się wykręciła z dzisiejszego spotkania, myślał Carter, czekając na zamówione dania. Od początku wiedziałem, że będę miał przez nią kłopoty. Tak to jest, kiedy człowiek nie może zaspokoić pożądanego.

Ale tu chodziło nie tylko o pożądanego. Carter doskonale o tym wiedział, tylko

nie bardzo chciał się przyznać. Gdyby sprawa była aż tak prosta, już dawno miałyby Liberty w łóżku i byłoby po krzyku.

Z każdą inną kobietą tak właśnie by zrobił i prędzej czy później byłby o niej zapomniał, ale nie z Liberty. Od niej chciał dużo więcej. Marzyła mu się prawdziwa bliskość. Duchowa, emocjonalna i w końcu także fizyczna. Na końcu, nie na początku znajomości. I, co gorsza, na zawsze.

Zastanawiał się nawet, czy możliwy byłby taki związek, jaki połączył jego rodziców. Zdawało mu się, że ku temu idzie, więc czemu nagle Liberty się wycofała?

Jego ponura mina nie zachęcała do towarzyskiej pogawędki, toteż znajomy kelner, który mu przyniósł jedzenie, bez słowa postawił talerze na stole i zniknął szybciej, niż się pojawił.

Dopiero kiedy Carter zjadł wszystko co do okruszyny, Adam uznał, że można się do niego znowu przysiąść.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli pozwolę jej zniszczyć coś, co miało szansę na rozwój - oznajmił przyjacielowi Carter. Najwyraźniej podjął jakąś decyzję. - I nic mnie nie obchodzi ta jej zepsuta do szpiku kości matka. Liberty musi zrozumieć, że nie jest do niej ani trochę podobna. Jest całkiem inna, a to, co nas łączy, jest zupełnie nietuzinkowe.

- Co racja, to racja - przytaknął Adam.

Na to mógł sobie pozwolić bez ryzyka.

- Jeśli chce walczyć, to będzie miała walkę, ale tym razem z dwoma zwycięzcami.

- Słusznie - Adam solennie przytakiwał przyjacielowi.

- A więc się ze mną zgadzasz? - ucieszył się Carter.

- Całkowicie.

- I dobrze. - Carter wstał od stołu, wsunął przyjacielowi w dłoń pieniądze. -

Fantastyczne jedzenie - pochwalił. - Jak zawsze. No i miło się z tobą rozmawiało.

Adam siedział nieporuszony na swoim miejscu. Dopiero kiedy Carter wyszedł z restauracji, westchnął, wstał od stolika i wrócił do swoich zajęć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Liberty trochę się obawiała spotkania z Carterem. Miał po nią przyjechać w piątek po południu i zabrać do Great Yarmouth, gdzie odbywała się rodzinna uroczystość. Wręcz bałaby się tej podróży, gdyby nie to, że Jennifer miała jechać razem z nimi. Ustalono, że jeszcze tego samego wieczoru wszyscy troje spotkają się z rodzicami Cartera i wspólnie zjedzą kolację, toteż Carter chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Spodziewała się go, a mimo to bardzo się denerwowała, kiedy szła otworzyć drzwi.

- Cześć - powiedział i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Ledwo zamknęła za nim drzwi, wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował. Liberty była tak zaskoczona, że nie tylko się nie broniła, ale sama też całowała Cartera. A przecież obiecała sobie, że z nim skończy.

- Ależ mi tego brakowało - powiedział. - Całe trzy dni musiałem się obywać bez ciebie. Jak tam w świecie pracy? Już po wszystkim?

Liberty nie posiadała się ze zdumienia. Spodziewała się, że Carter poczuje się urażony, że potraktuje ją ozięble, może nawet z wyższością, a tymczasem zachowywał się tak, jakby nic się między nimi nie zmieniło. Czyżby poważnie potraktował jej wymówki? A może tylko udawał?

- Wciąż mamy nawał pracy - odparła, wzięwszy się w garść.

- Jennifer bardzo się ucieszyła, że mimo wszystko znalazłaś czas, żeby z nami pojechać. Ja oczywiście też - dodał i znów ją do siebie przytulił.

- Nie było łatwo - skłamała Liberty. Miała ochotę zostać w jego objęciach całą wieczność i bardzo chciało jej się płakać. A przecież to nie tak miało być. - No,

ale skoro obiecałam...

Kocham go, pomyślała, i nie ma się co dłużej oszukiwać.

Wbrew wszystkim rozsądnym argumentom, wbrew własnym postanowieniom, jednak się w nim zakochała. Jak można aż do tego stopnia zgłupieć?

- Gotowa? - spytał Carter. - Możemy ruszać?

- Możemy - odparła Liberty.

W samochodzie było już znacznie lepiej. Radosna paplanina Jennifer pomogła nieco oczyścić atmosferę, choć Liberty dosłownie nie odrywała oczu od Cartera. Zastanawiała się, czy on ma pojęcie, jak bardzo ona go pragnie. Niemal co noc wyobrażała sobie niewyobrażalne i nie bardzo wiedziała, jak uda jej się przetrwać cały weekend tak blisko Cartera a jednocześnie bez niego. A jak ja bez niego przeżyję całe życie?

Byli na miejscu pół godziny przed planowanym spotkaniem. Kierownik luksusowego hotelu osobiście powitał dostojnych gości.

Ciekawe, czy Carter lubi taką pompę, pomyślała Liberty.

Właściwie prawie nic nie wiedziała o Carterze. Wprawdzie przez kilka ostatnich tygodni spotykali się niemal codziennie i spędzali ze sobą dużo czasu, ale tak naprawdę w ogóle go nie знаła. Owszem, poznała fasadę, którą zdecydował się jej pokazać, ale jaki był w środku - nie wiedziała. To mogła być prawdziwa twarz Cartera, ale mogła, a nie była nią na pewno.

Chociaż z drugiej strony... Z zawodowego doświadczenia Liberty wynikało, że ludzie, którym się zdaje, że doskonale znają swego życiowego partnera, bywają czasem niemile zaskoczeni.

To bez znaczenia, pomyślała. Postanowiłam zerwać tę znajomość i zrobię to, jak tylko wrócimy do Londynu. Nie chcę skończyć ze złamanym sercem, kiedy w końcu znudzę się Carterowi. Lepiej to zrobić teraz, choć i tak już trochę się spóźniłam.

Pokój, który miała zajmować wraz z Jennifer, był duży, a każde z dwóch po-

jedynczych łóżek miało rozmiar przeciętnego małżeńskiego łoża. Łazienka - istne dzieło sztuki - cała w srebrnych chromach i czarnych marmurach. Do tego patera z owocami, miseczka z czekoladkami i oczywiście ogromny bukiet kwiatów w wazonie. Carter musiał wydać majątek, skoro w ten sposób ich tu podejmowano.

Liberty bardzo się denerwowała przed spotkaniem z jego rodzicami. Zupełnie niepotrzebnie. Paul i Mary Blake'owie okazali się przemiłymi ludźmi. Ojciec Cartera był wysokim szczupłym mężczyzną o siwych włosach, matka - drobna, szczupła i wciąż jeszcze ładna, choć lata zmagania z niełatwym losem wyorały na jej twarzy głębokie bruzdy.

- A więc tak wygląda Liberty Fox - powiedział Paul Blake takim tonem, jakby już wszystko o niej wiedział. - No, nareszcie rozumiem, co tak bardzo urzekło mojego syna.

- Przestań, Paul - mitygowała go żona. - Wprawiasz tę młodą damę w zakłopotanie. A potem stanęła na palcach i pocałowała Liberty w policzek. - Ślicznie wyglądasz, kochanie. Cieszę się, że udało ci się przyjechać na naszą rocznicę. Boję się tylko, żebyś się nie zraziła. Spotkanie z całym naszym klanem każdego może przerazić.

- Ja się okropnie boję - przyznała Liberty, choć jeszcze przed chwilą zamierzała skłamać, powiedzieć, że nie może się doczekać tego spotkania. Matka Cartera tworzyła wokół siebie taką atmosferę, że nawet w tak błahej sprawie po prostu nie wypadało oszukiwać.

- Niepotrzebnie - starsza pani się do niej uśmiechnęła. - Będziemy na ciebie uważać. A gdyby wujek Harry chciał podejść bliżej, to Carter albo Paul się nim zajmą.

- Kim jest wujek Harry? - spytała Liberty, gdy reszta towarzystwa śmiała się do rozpuku.

- Ma osiemdziesiąt lat, ale uważa, że kobiety nadal za nim szaleją - wyjaśnił Carter.

- Żenił się już sześć razy - dodała Jennifer.

- Aktualna żona ma jakieś czterdzieści lat. Kilka miesięcy temu urodziła dziecko.

- Naprawdę? - dziwiła się Liberty. - I on ma osiemdziesiąt lat?

- Nie jesteśmy pewni, czy to naprawdę jego dziecko - Carter uśmiechnął się krzywo - ale wujek Harry wierzy, że jego własne.

- Carter! - Mary przywołała syna do porządku.

- Oczywiście, że Catherine jest jego córką. Są do siebie podobni jak dwie krople wody.

- Racja - zgodził się Carter. - Jest mała, okrągłutka i łyśa. Kubek w kubek taka jak wujek Harry.

- Ty wstręciuchu - Mary śmiała się razem z całą resztą.

Byli taką miłą, zgraną rodziną. Liberty patrzyła na nich jak dziecko, które podziwia przez szybę najpiękniejsze zabawki, choć wie, że nigdy w życiu żadnej z nich nie dostanie.

- O, jest i Adam.

Carter powiedział to swobodnie, jakby nie stało się nic wielkiego, choć nie spuszczał z oka swojej siostry.

- Adam? - Jennifer najwyraźniej się go nie spodziewała. - Nic nie mówiłeś, że ma dzisiaj przyjechać.

- Przepraszam, zapomniałem. - Carter udał bardzo roztrzepanego. - Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, żeby przyłączył się do nas już dzisiaj? - Zwrócił się do rodziców.

- Oczywiście, że nie - odparła natychmiast Mary. - Przecież Adam należy do rodziny. Kiedy on i jego siostra byli mali, częściej przesiadywali u nas niż w swoim domu - wyjaśniła, żeby Liberty nie poczuła się zagubiona.

Najwyraźniej rodzice także znali kłopoty Jennifer, bo udawali, że nie widzą skrepowania córki i z wielkim ożywieniem poruszali rozmaite tematy, w czym Car-

ter niestrudzenie ich wspomagał.

W restauracji był parkiet i grała orkiestra, więc po obiedzie, zanim podano kawę, Carter poprosił Liberty do tańca. Nie bardzo miała ochotę, ale nie wiedziała, jak się wymówić, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

- Czy ty się mnie boisz? - spytał, kiedy płynnie prowadził ją po parkiecie.

- Oszalałeś? - zaczerwieniła się aż po cebulki włosów. - Oczywiście, że nie.

To nawet była prawda, bo przecież nie Cartera się bała, tylko samej siebie, swoich reakcji, pragnień i własnego braku opanowania.

- To dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz i czemu drżysz, kiedy cię dotykam?

- Nieprawda - zaprotestowała.

Niestety, leciutkie drzenie głosu zdradziło, że to Carter ma rację.

- Ty pewnie też zauważyłaś, jak bardzo się do siebie ostatnio zbliżyliśmy - szeptał jej Carter do ucha. - Czy dlatego próbujesz się wycofać?

- Jeśli robisz to wszystko po to, żebym spędziła dzisiejszą noc w twoim łóżku, to niepotrzebnie sobie zawracasz głowę - burknęła.

- O niczym innym nie marzę - przyznał Carter i mocniej ją do siebie przytulił. Doskonale do siebie pasowali.

- Przestań - szepnęła. - Ludzie patrzą.

- Ale nie pójdziemy dziś do łóżka - szeptał, jakby nie usłyszał reprimendy. - Musimy z tym poczekać, bo ty jeszcze do tego nie dojrzałaś. My nie pójdziemy ze sobą do łóżka, Liberty. My będziemy się ze sobą kochali, a to ogromna różnica.

Tym razem nie mogła udać, że go nie rozumiała. Zwłaszcza że ciało płonęło z pożądania, którego Liberty nie umiała ani ukryć, ani opanować.

- Nie pozwolę ci odejść, moja śliczna - szeptał Carter. - Nie pozwolę ci zepchnąć siebie i mnie na dno piekła tylko dlatego, że boisz się mi zaufać. Musisz wreszcie zrozumieć, że sposób na życie, jaki wybrała sobie twoja matka, nie ma z nami zupełnie nic wspólnego.

- Ty nie wiesz, o czym mówisz. - Liberty wzdrygnęła się na samo wspomnienie o matce.

- Możliwe - Carter ani myślał protestować. - Ponieważ nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiasz.

Obrócił ją w tańcu. Po chwili znaleźli się przy drzwiach prowadzących do małego pokoju. Zaraz za tymi drzwiami Carter przystanął i nie wypuszczając z objęć Liberty, powiedział:

- Zależy mi na tobie. Mam nadzieję, że to zauważyłaś, bo wszyscy inni już od dawna o tym wiedzą.

- Sam mówiłeś, że nie chcesz trwałego związku - przypomniała, coraz bardziej zdenerwowana. - Sam osobiście mi to powiedziałeś!

- I wtedy tak myślałem.

- Więc co się stało, że teraz myślisz inaczej?

- Zmieniłem się - odparł po prostu. - Ale mówiłem także, że chcę związku opartego na prawdzie i uczciwości. Pamiętasz?

Liberty skinęła głową. Próbowała się od niego odsunąć, ale Carter jej nie pozwolił.

- To jedno się nie zmieniło - mówił. - Dlatego powiem ci wprost: pragnę cię, ale nie na tydzień, miesiąc czy nawet rok. Przy tobie człowiek zaczyna się zastanawiać, czy na zawsze, na przykład na całe życie, to nie będzie przypadkiem za krótko.

- To nieuczciwe - szepnęła zdruzgotana. - Od początku wiedziałeś, że ja się do tego nie nadaję.

- Nie nadawałaś się - poprawił ją Carter. - Teraz jest zupełnie inaczej.

Rzeczywiście było całkiem inaczej. Przez kilka minionych tygodni więcej ze sobą rozmawiali, więcej się śmiali i więcej wspólnego ich łączyło niż niektóre pary przez całe dziesięciolecie. Pewnie dlatego Liberty tak bardzo się wystraszyła. Bo Carter wiedział na pewno, że to nie jest jednostronne uczucie, że oboje tak samo

siebie pragną, że kochają się. Tak, na pewno się kochają. Gdyby było inaczej, to nie rozmawialiby ze sobą w taki sposób.

- Ale... Ja nie jestem taka, za jaką mnie uważasz - broniła się Liberty.

- Uwierzę, jak mi powiesz prosto w oczy, że mnie nie kochasz. - Carter wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem. - Powiedz to z pełnym przekonaniem, a od razu zostawię cię w spokoju. Ale uprzedzam cię: poznam, że kłamiesz.

Serce jej biło mocno, gardło miała ściśnięte. Nie mogła mu tego powiedzieć. Nie umiała kłamać!

- Wiem, opowiadałaś mi, że matka cię opuściła, że zostawiła twojego ojca samego. Ale on ciebie nie zostawił. Twój ojciec został z tobą. Na dobre i na złe. Dlaczego nie chcesz z niego brać przykładu?

On zupełnie nic nie rozumiał. Liberty wcale nie miała o to pretensji. Sama nie rozumiała własnych uczuć.

- Nie powiedziałaś - odezwał się Carter.

- Czego nie powiedziałam? - spytała.

Grała na zwłokę. Sama o tym wiedziała najlepiej.

- Nie powiedziałaś mi, że mnie nie kochasz.

- Miłość nie ma tu nic do rzeczy. - Liberty w końcu zdołała wydobyć z siebie głos. - Moja mama kochała tatę. Na początku. Sama mi to kiedyś powiedziała. A potem zakochała się w kimś innym, potem w jeszcze innym...

- Ale ty nie jesteś twoją matką! - Carter miał ochotę nią potrząsnąć.

Niestety, w moich żyłach płynie jej krew, pomyślała.

- Czy ty mnie słyszysz, Liberty? Ty nie jesteś podobna do Mirandy!

- A skąd ty możesz wiedzieć, jaka jestem? - Spojrzała na niego. Miała nadzieję, że uda jej się nie rozplakać. - Skąd ty masz taką pewność?

- Ponieważ cię znam.

- To niemożliwe. Pięć tygodni temu nawet nie wiedziałeś o moim istnieniu.

- Czas nie ma żadnego znaczenia - Carter mówił cicho, bardzo spokojnie. - Ty

jesteś moją drugą połową, kochanie. Ja to czuję. W kościach, we krwi, w głowie i w sercu. Wszędzie. Wiedziałem o tym, odkąd na ciebie spojrzałem, tylko wtedy nie chciałem w to uwierzyć. Oszukiwałem się, wmawiałem sobie, że to zwykła ciekawość. Teraz wiem, że to jest coś ważnego.

Ważnego? Czyżby jemu chodziło o małżeństwo?

Carter westchnął. Widział, jak Liberty drży, rozumiał, że okropnie się wystraszyła.

- No i co ja mam z tobą zrobić? - spytał. - Powiedz mi przynajmniej, czy ty też czujesz, że coś nas ze sobą łączy? Coś dobrego?

Liberty skinęła głową. Nie mogłaby zaprzeczyć. Zresztą on i tak by poznał, że skłamała.

- Czy kiedykolwiek czułaś coś takiego do kogoś innego? - wypytywał Carter.

Tym razem pokręciła głową. To, co ją łączyło z Carterem, było zupełnie wyjątkowe.

- I to cię aż tak przeraziło, że chciałaś ode mnie uciec?

Odwróciła wzrok. Jej serce biło coraz mocniej, jakby chciało się wydostać na wolność.

- No dobrze, skoro już sobie wszystko wyjaśniliśmy, to przynajmniej wiemy, na czym stoimy - podsumował. - Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zakończyć tę znajomość. Rozumiem, że ty się boisz. Nie będę udawał, że wiem, co się dzieje w twojej duszy, ale domyślam się, jak to wygląda, ponieważ ja też się trochę boję.

- Ty też?

- Może to dziwne, ale nie jesteś jedyną osobą, która nie może poznać samej siebie. - Ujął jej twarz w obie dłonie, pocałował Liberty w usta tak słodko, że kolana się pod nią ugięły. - To jak postanowiłaś? Rozstajemy się, czy nadal się spotykamy?

- A co będzie, jeśli z czasem się okaże, że jest całkiem inaczej, niż myślałaś? -

zapytała cichutko Liberty. - Przecież jak się jeszcze lepiej poznamy, to coś się między nami może popsuć. Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiał.

Cierpiał? - pomyślał Carter. To by mnie chyba zabiło!

- Jestem już dużym chłopcem - powiedział bardzo spokojnie. - Nie trzeba się o mnie martwić.

Liberty wreszcie na niego popatrzyła, a potem czule pogłaskała Cartera po policzku.

- Wracajmy na salę - powiedział uszczęśliwiony.

Pocałował ją w rękę, a potem objął i wyprowadził z powrotem na parkiet, gdzie roześmiana Jennifer wirowała w objęciach Adama.

Carter i Liberty wrócili do stolika. Mary Blake ruchem głowy wskazała tańczącą parę.

- Myślicie, że w końcu coś z tego będzie? - spytała.

- To wygląda na bardzo dobry początek - odparł Carter i spojrzał na Liberty w taki sposób, że zaraz się domyśliła, że jemu wcale nie chodzi o Jennifer.

- Mam nadzieję, że Jen wreszcie da mu do zrozumienia, co czuje - westchnęła Mary. - I tak już stracili mnóstwo czasu.

- Nie wtrącaj się, kochanie - mitygował żonę Paul. - Oni są już dorośli. Sami muszą podejmować decyzje.

- Nie mam zamiaru się wtrącać - zapewniła go Mary. - Chciałabym tylko, żeby Jennifer wreszcie coś powiedziała. Biedny Adam powinien się w końcu dowiedzieć, na czym stoi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Liberty obawiała się, że przez całą noc nie zmruży oka, ale zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Obudził ją szum wody w łazience. Chwilę później wyszła stamtąd Jennifer.

- Spłukiwałam z siebie bezsenność - tłumaczyła się siostra Cartera, siadając na swoim łóżku. - Czy bardzo widać, że mam sińce pod oczami?

- Nie widać - zapewniła ją Liberty. - Wyglądasz ślicznie.

- Jak uważasz - zawsze bezpośrednio Jennifer tym razem miała wyraźny kłopot z przedstawieniem swojego problemu - czy to coś znaczy, że Adam przyjechał sam, bez żadnej dziewczyny?

To chyba najbardziej beznadziejna para w całej historii świata, pomyślała Liberty.

Postanowiła wreszcie powiedzieć Jennifer parę słów do słuchu. Zwłaszcza że nadarzyła się okazja.

- Adam za tobą szaleje - wypaliła prosto z mostu. - Nawet ślepy by to zauważył. Zastanawiałaś się kiedyś, czemu zmienia dziewczyny jak rękawiczki? Nie chce z żadną związać się na dłużej, bo ciągle czeka na ciebie.

- Nie bujasz? - spytała szczerze zdumiona Jennifer.

- Po co bym miała bujać? - Liberty nie rozumiała, jak to się dzieje, że inteligentne dziewczyny bywają takie tępe. - Niestety, po tym, co mu zrobiłaś, musisz pierwsza się do niego odezwać. Ty zapoczątkowałaś tę zabawę w zazdrość i ty musisz ją zakończyć.

- Ale ja się boję - westchnęła Jennifer. - Wyobraź sobie, że ja mu coś tam powiem, a on nawet nie będzie chciał mnie słuchać. Co wtedy?

- Korona ci z głowy nie spadnie - zapewniła ją Liberty. - Nic się nie zmieni, niczego nie stracisz, a co możesz zyskać, to sama najlepiej wiesz.

- Wiem. - Jennifer zbierało się na płacz. - Ja naprawdę bardzo kocham Ada-

ma. Nie wiem, co sobie zrobię, jeśli się okaże, że on mnie nie chce.

- Nic sobie nie zrobisz, ponieważ Adam cię chce.

- Myślisz, że on mnie lubi?

- Myślę, że cię kocha - stwierdziła Liberty. - No dobra, teraz ja idę pod prysznic, a ty się przez ten czas zrób na bóstwo. Potem zejdziemy na śniadanie i ty pierwsza odezwiesz się do Adama. Tylko nie zastanawiaj się cały dzień. Zrób to zaraz z samego rana, żebyś miała potem miły wieczór.

Czemu łatwiej jest dawać dobre rady, niż samemu z nich skorzystać, zastanawiała się Liberty, stojąc pod mocnym strumieniem ciepłej wody. Mądrzyłam się jak wyrocznia, a przecież nie mam pojęcia o miłości.

Carter powiedział, że jeszcze nigdy do żadnej kobiety nie czuł tego, co do mnie. Załóżmy, że mówi prawdę, to może być spowodowane tym, że po raz pierwszy nie może mieć kobiety na zawołanie. No więc jeśli z nim pójdę do łóżka, a potem się okaże, że po kilku tygodniach on się znudzi, to ja tego raczej nie przeżyję. Kocham go, więc tu nie tylko o ciało chodzi. Musiałabym oddać mu duszę, serce, całą siebie!

Carter zaproponował, żeby spróbowali być razem dzień po dniu, bez żadnego pośpiechu, żeby przekonać się, co z tego wyniknie. Można się było nie zgodzić, lecz Liberty nie widziała innego wyjścia, jak przystać na tę propozycję. Nie umiała sobie wyobrazić życia bez Cartera, ale w resztę życia u jego boku jakoś nie potrafiła uwierzyć. I nie miała pojęcia, czemu on sobie właśnie nią zawraca głowę, zamiast zainteresować się jakąś miłą nieskomplikowaną dziewczyną.

Chociaż się nie spieszyła z suszeniem włosów i ubieraniem, to i tak jeszcze dziesięć minut musiała czekać, aż Jennifer będzie gotowa do wyjścia.

Adam z Carterem siedzieli przy restauracyjnym stoliku, popijając sok pomarańczowy. Podnieśli się na widok nadchodzących kobiet. Adam uśmiechnął się do Jennifer, a Carter delikatnie pocałował Liberty w usta.

- Wyspałyście się? - spytał Adam.

To było zwykle grzecznościowe pytanie, ale Jennifer potraktowała je poważnie.

- Ja w ogóle nie spałam - powiedziała. - Przez całą noc się zastanawiałam, czy odważę się przyznać, że zachowałam się wobec ciebie obrzydliwie i poprosić, żebyś dał mi jeszcze jedną szansę.

Zapadła taka cisza, że gdyby ktoś w tej chwili upuścił szpilkę, usłyszeliby, jak uderza o dywan. Liberty siedziała sztywno, jakby kij połknęła, a wyciągnięta po szklankę dłoń Cartera zawisała w powietrzu.

- Czy zdołasz mi kiedyś wybaczyć? - mówiła Jennifer do oniemiałego Adama.
- Wiem, że musisz się nad tym zastanowić...

- Już się zastanowiłem - wpadł jej w słowo.

- Wychodzimy, Jen. - Wstał, wziął Jennifer za rękę. - Wybaczcie - zwrócił się do Liberty i Cartera - ale to wyjątkowa sytuacja.

Po chwili już ich nie było.

- Nareszcie - westchnął z ulgą Carter. - Myślałem, że już nigdy się nie odezwie.

- A jednak się odezwała. - Liberty nie kryła podziwu. - Gołym okiem widać, że on ją kocha.

- Cieszę się, że to zauważyłaś - Carter się do niej uśmiechnął. - A wracając do bardziej przyziemnych spraw, to jestem głodny jak wilk.

Po śniadaniu poszli na spacer brzegiem morza. Było zimno. Słońce świeciło jasno, ale nie dawało ciepła. Liberty cieszyła się każdą chwilą tego dnia, starała się zapamiętać szum fal, krzyk mew i ciepło bijące od Cartera, który ją do siebie przytulał.

Lunch także zjedli we dwoje, bo Jennifer i Adam i tym razem nie raczyli się zjawić. Za to po lunchu Liberty musiała choć na chwilę zostać sama. Zresztą rzeczywiście głowa ją rozboleła. Pewnie z nerwów, choć to bardzo głupie. Przecież miłość, romans, czy jak to tam nazwać nie powinna się wiązać z bólem. Powinna

być jednym pasmem radości i wzruszeń.

Poszła do swego pokoju, zaciągnęła zasłony, wzięła środek przeciwbólowy i położyła się do łóżka. Zamierzała poleżeć pół godziny, aż ból minie, a potem zejść na dół i pomóc Carterowi dopilnować wszystkiego, czego należało jeszcze dopilnować, ale - nie wiadomo kiedy - zasnęła.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek. Minęły trzy godziny!

Zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie szlafrok i poszła otworzyć.

- Jak tam głowa? - zapytał Carter.

- Już dobrze. Nie wiem, jak to się stało, ale zasnęłam. Zamierzałam tylko chwilę poleżeć, a tymczasem...

- Nic się nie stało - uspokoił ją Carter. - Przyszedłem cię zaprosić do swojego pokoju. Jen i Adam koniecznie chcą nam coś powiedzieć.

- Ale ja jestem nieubrana - zaprotestowała Liberty.

- Jeżeli o mnie chodzi, to możesz iść jak stoisz. To przecież tylko kawałek korytarzem.

Pokój, który zajmowali Adam z Carterem, był rzeczywiście kilka kroków dalej. Jennifer i Adam stali na samym środku przytuleni do siebie i tacy rozradowani, że mogli mieć do przekazania wyłącznie dobrą nowinę.

- Zareczyliśmy się - oznajmiła Jennifer. Wyciągnęła przed siebie dłoń z pierścionkiem, w którym połyskiwał nieduży brylant. - Chcieliśmy, żebyście pierwsi się o tym dowiedzieli.

- Tak się cieszę! - Liberty uściskała Jennifer.

- Powiedziałbym, że szybki jesteś - Carter ścisnął dłoń przyjaciela - ale ponieważ czekałeś z tym ponad dziesięć lat, to nie powiem.

- Na wiosnę bierzemy ślub - mówiła Jennifer.

- Skromna uroczystość dla rodziny i najbliższych przyjaciół, a wy dwoje będziecie naszymi świadkami.

- Oczywiście - Carter zgodził się bez wahania.

Nawet nie zaczekał, aż Liberty się wypowie.

- Skoro tym razem ma to być na całe życie...

Rozległo się pukanie do drzwi. Przyniesiono szampana, którego Carter prze-zornie już zamówił.

Zapewne dzięki temu nikt nie zauważył, że Liberty się nie odezwała.

Owszem, uśmiechała się i naprawdę życzyła szczęścia młodej parze, ale ta rozmowa o ślubie i o świadkach całkiem ją wytrąciła z równowagi. Przecież nie mogła wiedzieć, czy ona i Carter będą razem jeszcze w przyszłym tygodniu, a co dopiero mówić o przyszłej wiosnie.

Minęła piąta, kiedy Jennifer sobie przypomniała, że pora się przebierać na wieczorne przyjęcie. Rzeczywiście zostało mało czasu i dziewczęta musiały się spieszyć, żeby ze wszystkim zdążyć. Śmiały się przy tym i żartowały, aż w końcu Liberty całkiem zapomniała o zdenerwowaniu.

Uzgodniono poprzedniego dnia, że Jennifer, Carter oraz Adam i Liberty spotkają się z państwem Blake na koktajlu w hotelowym barze mniej więcej na pół godziny przed planowanym przybyciem pierwszych gości. Jennifer nie była pewna, czy to właściwy moment, by powiedzieć rodzicom o przełomie w jej stosunkach z Adamem.

- Jak najbardziej - przekonywała ją Liberty. - My z Carterem zejdziemy chwilę później, żebyście nie musieli się kępować naszą obecnością.

- Co też ty wygadujesz - obruszyła się Jennifer. - Ale chyba masz rację. Takie sprawy powinno się załatwiać w możliwie najwęższym gronie. Powiem Carterowi, żeby wstąpił po ciebie, zanim się wybierze na dół.

Obróciła się na pięcie i już jej nie było. Liberty została sama ze swoją przepiękną, kunsztownie ozdobioną wieczorową suknią. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, czy aby suknia nie jest zbyt obcisła, a dekolci na plecach za duży. A przecież chciała się podobać Carterowi. Chciała, żeby nie mógł oczu od niej ode-rwać, żeby pragnął jej jak nikogo na świecie. Chciała i jednocześnie bardzo się tego

bała. Zupełnie nie potrafiła dojść do ładu ze sobą.

Och, przestań wreszcie marudzić, skarciła samą siebie. Zdjęła sukienkę z wieszaka, włożyła. Wyglądała tak pięknie, że aż jej mowę odjęło. Pomyślała, że ten widok oraz towarzyszący mu nastrój należałoby szczelnie zamknąć w sejfie, żeby móc wracać do niego w chwilach wielkiego smutku.

Jakiś kwadrans po wyjściu Jennifer w pokoju zjawił się Carter. Na widok Liberty w wieczorowej sukni po prostu oniemiał z zachwytu.

- Fantastycznie wyglądasz - powiedział, kiedy odzyskał mowę.

On też wyglądał zachwycająco w czarnym smokingu i śnieżnobiałej koszuli. Jak z obrazka. Wyjął z kieszeni długie wąskie pudełko i podał je Liberty.

- Chciałem ci przynieść kwiat, ale nie wiedziałem, czy włożysz dzisiaj suknię, do której da się go przypiąć, więc zdecydowałem się na to. Pasuje do wszystkiego.

- Co to jest? - Patrzyła na pudełko z taką miną, jakby spodziewała się tam znaleźć jadowitego węża.

- Otwórz, to się przekonasz - poradził Carter.

- Po co mi to przyniosłeś? - zawołała, gdy uniosła wieczko. W pudełku spoczywała przepiękna diamentowa bransoletka. - Przecież nawet nie mam dziś urodzin!

- Podoba ci się? - zapytał, jakby naprawdę nie był tego pewien.

- Jest piękna.

I na pewno bardzo droga, pomyślała Liberty, wpatrując się bezradnie w to dzieło jubilerskiej sztuki.

- No więc jest jakiś powód - Carter się do niej uśmiechnął. - Chciałem ci sprawić przyjemność.

- Jest piękna - powtórzyła Liberty, z trudem formułując słowa - ale ja nie mogę przyjąć takiego drogiego prezentu.

Przyglądał jej się z taką miną, jakby zobaczył kosmitę.

- Chyba nie ma na świecie nikogo poza tobą, kto by szczerze odmówił przyję-

cia upominku - powiedział, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że to kokieteria.

- Ja naprawdę nie mogę - upierała się Liberty.

- Przecież to tylko błyskotka - przekonywał ją Carter. - Załóż i zapomnijmy o tym.

Liberty pomyślała o Mirandzie naciągającej swych kolejnych kochanków na kosztowne prezenty. Jak w złym śnie przypomniała jej się scena, której świadkiem była dawno temu. Ojciec trzyma w ręku pudełko ze złotym zegarkiem i pyta matkę, skąd ona to ma, a matka odpowiada, że to nie jego sprawa, że skoro on jej nie kupuje ładnych rzeczy, to znajdą się inni, którzy to zrobią za niego.

- To nie żadna błyskotka, tylko piękna droga bransoletka. Nie myśl, że nie doceniam, ale... - głos jej się załamał.

- Ale co? - dopytywał się Carter.

- Nic. - Liberty miała ochotę się rozplakać. - Po prostu nie mogę jej przyjąć.

- Na litość boską, co złego jest w tym, że chcę ci coś podarować?

Nic. I wszystko jednocześnie. Nie umiała mu tego wytłumaczyć, ponieważ sama nie bardzo rozumiała.

Miał ochotę potrząsnąć nią, zmusić, żeby wróciła do rzeczywistości, ale prędko się opanował. Zamknął pudełko, schował je do kieszeni.

- W porządku. Nic się nie stało - powiedział. - Chodźmy już, bo rodzice zaczynają się niepokoić.

Wiedziała, że zachowała się paskudnie i na dodatek bez sensu. Zepsuła mu całą przyjemność z uroczystości, jaką mógł wreszcie urządzić swym rodzicom, którzy nigdy nie mieli prawdziwego przyjęcia weselnego. Zepsuła mu także radość z zaręczyn siostry i przyjaciela. Wszystko zepsuła.

- Przepraszam - powiedziała, bo tylko to mogła w tej sytuacji zrobić.

- Nic się nie stało - powtórzył z naciskiem Carter.

A potem ją objął i przytulił do siebie. Liberty było tak dobrze, tak bezpiecz-

nie. Najchętniej nigdzie by się stąd nie ruszała, tylko na zawsze pozostała w mocnych ramionach Cartera.

- Przepraszam - szepnęła przez łzy.

- Nie przepraszaj - Carter pogłaskał ją po policzku. - Nie trzeba. Wiem przecież, że to nie twoja wina. I nie płacz, bo ci się makijaż rozmaże.

- Już się rozmazał - mruknęła. - Zaczekaj, zaraz wrócę.

Poszła do łazienki. Nie było jej całe pięć minut, ale Carterowi czekanie się nie dłużyło. Na nią mógłby czekać całą wieczność, choć miał nadzieję, że nie potrwa to aż tak długo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przyjęcie odbyło się zgodnie z planem. Nic dziwnego. Carter wydał majątek, żeby wszystko działało jak w zegarku. Po minach starszych państwa było widać, że zaręczyny córki stały się najpiękniejszym zwieńczeniem ich rocznicowego wieczoru.

Byli ciepłą, kochającą się rodziną, a Mary Blake była osią, wokół której kręciło się rodzinne życie. Mąż i dzieci po prostu ją uwielbiali i tak było dobrze, tak powinno być zawsze, tylko Liberty zdawało się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. A przecież nie udawali! To jedno wiedziała na pewno.

Goście zasiedli przy stołach i Carter, a po nim Jennifer, wygłosili mowy na cześć swoich rodziców. Ich słowa tak bardzo wzruszyły Liberty, że omal znowu się nie rozplakała. Bardziej niż kiedykolwiek czuła się jak to dziecko przed sklepem z pięknymi, lecz nieosiągalnymi zabawkami. A przecież tylko od niej zależało, czy będzie mogła wejść do tego sklepu... Nie. Wejść do tej szczęśliwej rodziny i stać się jedną z nich. Wystarczyło tylko się odważyć.

Nie byłaby sobą, gdyby nie pojawiły się wątpliwości. No bo owszem, można wejść do tej rodziny, ale na jak długo? Bo na pewno nie na całe życie. Liberty nie

wierzyła, że taki mężczyzna jak Carter z czasem nie uświadomi sobie, jak wielki błąd popełnił. Ile czasu mu trzeba, żeby się przekonać, że ona nie jest nikim wyjątkowym, że nie jest tą wymarzoną? A co, jeśli to ona wystawi do wiatru Cartera?

Z największym trudem strząsnęła z siebie te wszystkie ponure myśli. Postanowiła nie martwić się na zapas. Choćby tylko przez ten jeden wieczór.

Po wspaniałym obiedzie zarządzono tańce. Mary i Paul zatańczyli pierwszy taniec, a potem parkiet zaroił się od par. Carter tańczył wspaniale, więc - jak zwykle, kiedy tylko sobie pozwoliła na uniesienia - Liberty czuła się, jakby trafiła do nieba. Chciała, żeby ten wieczór nigdy się nie skończył.

Adam przyszedł do nich tuż przed północą.

- Jennifer pada z nóg - powiedział. - Odprowadzę ją do pokoju.

Dopiero teraz Liberty zauważyła siostrę Cartera, która drzemała na jednej z kilku rozstawionych pod ścianami kanap.

- Mam ci w czymś pomóc? - spytał Carter.

- Nie trzeba. Poradzę sobie.

Bez wysiłku wziął na ręce zaspaną Jennifer i zaniósł ją do windy. Był taki szczęśliwy i dumny, jakby wygrał pierwszą nagrodę na najważniejszym konkursie w całej galaktyce.

Wkrótce potem rodzice Cartera też pojechali do domu. Orkiestra grała coraz wolniejsze utwory, goście pomału zaczęli się rozchodzić. Około drugiej nie było już prawie nikogo. Muzycy pochowali instrumenty i poszli spać. Tylko pianista przygrywał do tańca tej jednej ostatniej parze.

No cóż, bajka się skończyła, pomyślała Liberty. Trzeba wracać do rzeczywistości.

W korytarzu na piętrze, gdzie znajdowały się ich pokoje, było cicho jak makiem zasiał. Nawet kroków nie było słychać, bo tłumił je miękki dywan.

- Wspaniały wieczór - powiedział Carter, gdy zatrzymali się przed drzwiami pokoju dziewcząt. - Dobranoc, moja śliczna.

Pocałował ją, poczekał, aż otworzyła drzwi, i dopiero potem poszedł do siebie.

Liberty nie od razu się zorientowała, że jej łóżko już jest zajęte. Adam w garniturze i butach leżał na narzucie. Spał jak zabity. Sukienka Jennifer była porządnie przewieszona przez oparcie krzesła, a jej właścicielka spała smacznie otulona kołdrą. Widocznie zdążył położyć Jennifer spać, zanim sam całkiem opadł z sił.

- Obudź się. - Liberty szarpnęła Adama za ramię.

Ani drgnął. Szarpnęła jeszcze raz. Bez skutku. Potem jeszcze kilka razy go szarpała i coraz głośniejsze wołała, żeby wstał. Bez rezultatu.

Nie miała pojęcia, co ma z tym fantem zrobić. Stała nad śpiącym Adamem całkowicie bezradna.

Ratunek przyszedł pod postacią cichego pukania do drzwi. To Carter się zorientował, że jego pokój jest pusty i wybrał się na poszukiwanie przyjaciela.

- Jest tutaj - Liberty wskazała swoje łóżko. - Nie mogę go dobudzić.

- Nie ma sensu próbować. Kiedy jest w takim stanie, to nic go nie obudzi. Jak chodziliśmy do szkoły, wybraliśmy się z kumplami na żagle. W nocy dopadła nas burza. Mało nie zatopiła łódki i tylko Adam spał kamiennym snem. Dopiero rano dowiedział się, że przespał sztorm.

- A nie mógłbyś go jakoś przenieść? - spytała udręczona Liberty.

Pewnie, że mógł, ale ani myślał rezygnować z niespodziewanego prezentu, jaki mu los raczył zesłać.

- Nie dam rady. - Carter pokręcił głową. - To wielki facet, a że jest nieprzytomny, to będzie ciężki jak ołów.

- No to gdzie ja mam spać? W łazience?

- Przecież w moim pokoju jest wolne łóżko - przypomniał Carter z miną niewiniątka.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Liberty.

- Dlaczego? - zdziwił się Carter. - Łóżko w twoim pokoju jest zajęte, a w moim wolne. Rozumiesz? Są dwa osobne łóżka: jedno dla mnie, a drugie dla ciebie. Nie mam pojęcia, co ty w tym widzisz złego. Zwłaszcza że oboje jesteśmy dorośli.

Rzeczywiście, zdawało się, że to rozsądne rozwiązanie. Gdyby nie to, że Carter miałby spać w tym samym pokoju co ona.

- Chyba że nie masz zaufania do siebie - dodał ze śmiertelną powagą. - Jeśli się boisz, że zaczniesz mnie napastować, to ewentualnie mógłbym zrozumieć...

Co to za wstrętny człowiek! I skąd wiedział, że właśnie o to chodzi?

- Bzdura - obruszyła się Liberty.

- A więc nie ma problemu - Carter się do niej uśmiechnął.

Liberty niezdecydowana stała na środku pokoju. W zasadzie wszystko było w porządku, ale intuicja ją ostrzegała, że wcale nie jest tak słodko.

- Masz rację - westchnęła zrezygnowana.

- Przyjdź, jak będziesz gotowa - powiedział całkiem obojętnym tonem. - Zostawię drzwi uchylone.

Wyszedł. To było bardzo ważne, żeby właśnie w tej chwili usunął się jej z drogi. Idąc korytarzem do swego pokoju, pogratulował sobie w duchu, że nareszcie zdołał przełamać jej opór. Nie rozumiał, czemu Liberty nawet nie próbuje się uwolnić z pętli, którą matka zacisnęła na jej sercu.

Po każdym kroku naprzód, jaki udało mu się na niej wymusić, Liberty robiła pół kroku w tył. Przełamanie jej oporów mogłoby zabrać jeszcze dziesięć lat, a Carter nie chciał aż tak długo czekać. Najprościej byłoby ją wziąć do łóżka. Wtedy wszystko stałoby się łatwiejsze. Czuł, że ona pragnie go tak samo jak on ją, a tej nocy los zesłał mu okazję, jaka pewnie nigdy się już nie powtórzy. Byłby głupcem, gdyby z niej nie skorzystał. Zwłaszcza że to miał być dopiero początek, a nie koniec ich wielkiej miłości.

Liberty zapukała w uchylone drzwi. Nikt jej nie odpowiedział, więc ostrożnie zajrzała do środka. Z łazienki dochodził szum wody. Carter był pod prysznicem.

Weszła do pokoju, rozejrzała się. Na jednym łóżku leżał garnitur Cartera. Ze ściśniętym sercem, jakby przekraczała pilnie strzeżoną granicę, podeszła do drugiego łóżka, usiadła na nim, przyciskając do siebie koszulę nocną, szlafrok i przybory toaletowe, jakby to była tarcza, a nie zwyczajne przedmioty codziennego użytku.

Woda przestała szumieć, w pokoju zjawił się Carter.

- Jesteś - powiedział takim tonem, jakby nie było nic dziwnego w tym, że Liberty przyszła do jego pokoju w środku nocy. - Nie słyszałem, jak przyszedłaś.

Miał na sobie tylko ręcznik kąpielowy owinięty wokół bioder. Liberty nie mogła od niego oderwać oczu. Zastanawiała się, czy on zawsze sypia nago, i doszła do wniosku, że... sobie nie poradzi.

- Łazienka wolna - oznajmił, udając, że nie widzi, jak Liberty się na niego gapi.

- Dziękuję. - Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

Zerwała się na równe nogi i niemal pobiegła do łazienki.

Teraz miała do rozwiązania nowy problem: czy zamknąć drzwi na klucz, czy nie zamykać. Jeśli zamknie, to będzie wyglądało, jakby nie miała zaufania do Cartera, ale jeśli nie zamknie, to on może potraktować to jak zaproszenie.

W końcu podjęła decyzję. Zamknęła drzwi na klucz, oparła się o nie plecami. Oddychała ciężko, jak po wyczerpującym biegu. Nie rozumiała, czemu tak głupio się zachowuje. W końcu, jeśli o tym spokojnie pomyśleć, to gdyby dzisiaj poszła do łóżka z Carterem, kilka problemów od razu by się rozwiązało. Zwłaszcza że od kilku tygodni sama rozważała taką możliwość.

Na nieszczęście co innego myśleć o tych sprawach spokojnie w świetle dnia, a co innego stanąć twarzą w twarz z problemem w zamkniętym pokoju hotelowym w środku nocy.

Rozbierz się i wreszcie wejdź pod prysznic, poleciła samej sobie. Musiała się zająć zwyczajnymi codziennymi sprawami, bo bała się, że jeśli tego nie zrobi, to -

najzwyczajniej w świecie - zwariuje.

Mycie, czesanie, przebieranie się do snu, cały ten rytuał rzeczywiście trochę ją uspokoił, ale spokój diabli wzięli, kiedy tylko wyszła z łazienki. Carter, w spodniach od piżamy z czarnego jedwabiu, wyjmował coś z lodówki.

- Masz ochotę napić się wody? - spytał.

Wpatrywała się w niego jak urzeczona. Był piękny, szczupły, lekko opalony i taki męski, że Liberty dosłownie zaschło w gardle. Teraz rzeczywiście potrzebowała wody.

- Adam się spali ze wstydu, jak się rano obudzi - stwierdził Carter, stawiając na stole dwie butelki wody mineralnej. - Do końca życia sobie nie daruje, że zaanektował twoje łóżko.

Liberty się nie odezwała. Patrzyła. Carter zachowywał się tak, jakby nic nadzwyczajnego się nie działo, jakby on nie był półnagi, jakby ona nie miała na sobie nocnej koszuli, jakby nie wpatrywała się w niego jak urzeczona.

- Czy wiesz, że prosto spod prysznic, bez żadnego makijażu, wyglądasz jeszcze piękniej niż za dnia? - spytał, nalewając wodę do szklanek. I tym samym spokojnym, obojętnym jak podczas rozmowy o pogodzie tonem dodał: - Czy masz pojęcie, jak bardzo ciebie pragnę?

Liberty zebrała się na odwagę. W końcu i tak nie miała nic do stracenia. Przy najmniej ten jeden raz nie chciała być rozumna ani postępować logicznie. Mogła być nieostrożna, niemądra, może nawet trochę szalona.

- Chyba mam - przyznała się cichutko. - Jeśli choć w połowie tak mocno jak ja ciebie...

Carter odstawił butelkę z wodą, podszedł do Liberty, przytulił ją do siebie i pocałował. Nie pierwszy raz to robił, ale - czy to z powodu wypitego szampana, czy przetańczonej nocy, czy z radosnej atmosfery rodzinnego święta, a może przez to wszystko razem - przeniósł ją w czarodziejski świat, w którym czas stanął w miejscu, a rozum nie miał nic do powiedzenia.

Położył ją na łóżku. Czowała tylko narastającą przyjemność, czowała, że nie obchodzi jej, co będzie jutro...

- Chcę się z tobą kochać - szepnęła. - Bądźmy razem, dopóki ci się nie znudzę.

Carter zeszywniał, a potem puścił ją i wstał z łóżka.

- Co ci jest? Co ja takiego zrobiłam?

Nie odzywał się, tylko stał i oddychał głęboko. Potem podszedł do swojego łóżka, usiadł na nim i ukrył twarz w dłoniach.

- Carter? - Liberty bała się coraz bardziej. - Co ci jest?

- Nie chcę, żeby to się odbyło w ten sposób - powiedział niemal szeptem. - Myślałem, że potrafię, ale nie mogę tak. Nie z tobą.

A więc jednak mnie nie chce, pomyślała zrozpaczona. Wcale mu się nie podobam. Wiedziałam! Od początku wiedziałam, że to się musi tak skończyć.

- Nie rozumiem - powiedziała mimo tego.

Jeszcze nad sobą panowała, ale bardzo dużo ją to kosztowało.

- I w tym właśnie jest problem - westchnął Carter. - Całujesz mnie, tulisz się do mnie, ale mi nie ufasz. Nie wierzysz, że mam uczciwe zamiary.

- Co ty wygadujesz? Ja naprawdę cię pragnę. Ja... - zawahała się, ale zaraz zdała sobie sprawę, że musi to powiedzieć, bo potem nie starczy jej odwagi. Teraz albo już nigdy w życiu. - Ja cię kocham.

- A jednak mi nie ufasz. Nie wierzysz, że będę z tobą na dobre i na złe, że moglibyśmy przejść razem przez całe życie.

- Czegoś takiego nigdy nie jest się pewnym.

- Nieprawda! Popatrz na Jennifer i Adama. Oni są pewni. I ja też jestem pewien. Kocham cię, Liberty. Kocham cię do szaleństwa.

- Gdyby to była prawda, to byś nie przestał... - głos jej się załamał.

- Przestałem, ponieważ to jest prawda. Zrozum, nie chcę mieć z tobą romansu. Chcę, żebyś została moją żoną, żebyś należała tylko do mnie i żebym ja był tylko

twój na całą resztę życia. Chcę, żebyśmy mieli dzieci i to wszystko, co mają dobre małżeństwa. Tradycyjne małżeństwa. Takie jak moi rodzice.

- Ale ja się do tego nie nadaję!

- Bzdura! Nadajesz się jak nikt na świecie. Wiem, bo znam cię lepiej niż ty siebie.

- Nic nie wiesz. Dopiero co mnie poznałeś.

- A mimo to chciałaś, żebym się z tobą kochał - wypomniał jej bez miłosierdzia. Nie mógł okazać litości, ponieważ walczył o życie. O swoje i o jej życie. - Zostawię cię w spokoju, jak mi powiesz, że już to robiłaś albo chociaż że chciałaś to zrobić z kimś innym.

Liberty milczała. Gorące łzy spływały jej po policzkach.

- Nie powiesz, bo musiałabyś skłamać - podsumował już nie tak ostrym tonem. - Ty wiesz, że jestem twoją drugą połową. Twoje ciało już mnie rozpoznało, tylko umysł jeszcze się broni.

- Moja matka używa seksu, żeby osiągnąć cel - odezwała się Liberty. Jej głos brzmiał, jakby dochodził z zaświatów. - Łamie serca i rozbija rodziny, bo kolejny idiota daje się nabrać na jej chytne sztuczki. Nie chcę, żeby mnie się coś podobnego przytrafiło.

- Nie rozumiem. - Carter pokręcił głową. - Nie chcesz być taka jak ona, czy boisz się, że ktoś taki jak twoja matka zrujnuje nasze wspólne życie?

- Jedno i drugie.

- No to teraz ja ci coś powiem. - Carter uznał, że najwyższy czas, by wreszcie nazwać rzeczy po imieniu. - Twoja matka to czarna wdowa w ludzkiej postaci. Z wielu ludzi wyssała krew, ale ja nie pozwolę, żeby zniszczyła ciebie. To ona ci wmówiła, że seks jest jedyną możliwą formą bliskości między ludźmi. Nie potrafisz uwierzyć, że istnieją mężczyźni odporni na uroki. Co więcej, boisz się, że twoja miłość też nie przetrwa.

- To prawda - przyznała cichutko.

- A gdzie w tym strasznym świecie jest miejsce dla takich ludzi jak twój ojciec? - spytał Carter. - Sama mi powiedziałaś, że latami czekał na tę swoją Joan.

- Tata jest wyjątkowy.

- Masz rację. - Carter nie chciał się kłócić. - To rzeczywiście nie był najlepszy przykład. Ale weźmy mojego tatę. Widziałaś go. Wystarczy raz zobaczyć, jak traktuje mamę, żeby wiedzieć, że uważa ją za najlepszy prezent, jaki dostał od życia.

Sęk w tym, że Liberty nie była taka jak Mary Blake. Cokolwiek miała w sobie matka Cartera, Liberty tego nie posiadała. Jak mogłaby utrzymać przy sobie męża, skoro nawet własna matka ją porzuciła?

- I co my teraz zrobimy, Liberty? - spytał Carter. - Nie chcę żyć z tobą bez ślubu. Nie chcę życia bez zobowiązań choćby dlatego, że będę umierał z zazdrości za każdym razem, jak tylko mi znikniesz z oczu.

- Ja... Nie wiem - wyszeptała.

- Rozumiem, że chcesz z tym skończyć. Uważasz, że to dobry moment, żeby ode mnie odejść?

- Nie - odparła.

Tym razem bez namysłu.

- A więc jeśli mam z tobą zostać, to tylko na twoich warunkach? Bez żadnych zobowiązań, bez dzieci, z możliwością rozejścia się w każdej chwili?

Nie miała pojęcia, co robić ani co powiedzieć. Kochała go tak bardzo... Nie wiedziała, że taka miłość może istnieć w prawdziwym życiu. Bała się, że Carter nie zechce przyjąć jej warunków i że ją zostawi, ale kłamać też nie miała prawa. Nie mogła mu obiecać, że kiedykolwiek wyjdzie za niego za mąż.

Pożałowała, że nic już nie jest takie proste, jak było, nim poznała Cartera. Wtedy wiedziała, czego chce od życia i jak ono będzie wyglądało. Miało być proste, zwyczajne i przewidywalne, bez niepotrzebnych emocji. W tej chwili rządziły emocje, a Liberty nie umiała radzić sobie z emocjami. Przeszkadzały logicznie myśleć, nie pozwalały podjąć rozsądnej decyzji.

Najgorszą z nich był strach. Potworny strach, że kiedyś zostanie bez Cartera, że coś się zepsuje, że miłość w końcu wygaśnie.

- Będę tylko twoja - zapewniła - dopóki to się nie skończy.

- Chciałabyś, żeby nasze życie było monogamiczne, choć tak naprawdę wcale nie będziemy razem? Każde z nas w każdej chwili będzie mogło zrezygnować ze związku? - drażył Carter.

- No właśnie - ucieszyła się, że nareszcie zrozumiał, że może jednak się zgodzi.

- A jeśli żadne z nas nigdy nie zechce zrezygnować? To co wtedy? Ominą nas wszystkie radości rodzinnego życia: dzieci, wnuki i cała reszta.

Znowu miał rację. Carter zawsze miał rację!

- Nie wiem, Carter - powiedziała zrozpaczona. - Naprawdę nie mam pojęcia.

Patrzył na nią i milczał.

- Już późno - powiedział w końcu. - Chodźmy spać.

- Żartujesz? - Liberty się roześmiała, lecz nie było w tym śmiechu radości. - Jak ja mam teraz spać? Z tym wszystkim?

- Spróbuj. - Carter się położył, nakrył kołdrą i prawie natychmiast zasnął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Liberty przez całą noc nie zmrużyła oka. Świtało, kiedy wreszcie zasnęła. Obudziło ją delikatne głaskanie po policzku. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarz Cartera.

- Dzień dobry - leciutko pocałował jej usta. - Trzeba się budzić, kochanie. Dochodzi jedenasta, a o dwunastej powinniśmy wyjechać. Pomyślałem sobie, że chciałabyś zjeść śniadanie w łóżku.

Liberty przetarła oczy. Carter był już ubrany, a na nocnym stoliku stała taca z jedzeniem.

- Jen i Adam już wyjechali - mówił Carter. - Kazali cię serdecznie uściskać.

- O, Boże - jęknęła Liberty. - Co Adam sobie o mnie pomyślał?

- Ponieważ spałaś w jego łóżku, to pewnie pomyślał sobie, że tracę formę - żartował Carter. - A poważnie: co cię to obchodzi? Gdyby Adam nie zajął twojego łóżka, to nie musiałabyś spać tutaj.

Patrzył na nią, a ona była w rozsypce. Rozespana, z potarganymi włosami.

- Okropnie wyglądam - powiedziała, przeczesując palcami burzę rudych włosów.

- Wyglądasz cudownie - zapewnił Carter. - Cieszę się, że mogę cię wreszcie zobaczyć tuż po przebudzeniu. A teraz zjedz, umyj się i ubierz. Mnie wprawdzie nie przeszkadza, jeśli pojedziesz w tej swojej ślicznej koszulce, ale jakiś biedny kierowca ciężarówki może mieć kłopoty, jeśli przypadkiem zajrzy do naszego auta.

Żartował, jakby nigdy nic, jakby to wszystko, co się stało w nocy, tylko się Liberty przyśniło. Nie wiedziała, co to może oznaczać. Bała się, czy on przypadkiem się nie zraził, czy jeszcze kiedyś zechce ją zobaczyć, czy tylko odwiezie ją do domu i na tym koniec.

Zapewne te wszystkie myśli odbiły się na jej twarzy, bo Carter poprawił jej poduszkę, postawił na kolanach tacę ze śniadaniem i powiedział:

- Tylko mi tu znowu nie zaczynaj rozmyślać. Daj sobie chociaż jeden wolny dzień.

A więc chyba mnie nie zostawi, pomyślała troszkę pocieszona. Nie mówiłby tego wszystkiego i by się tak nie uśmiechał. Poza tym to nie ten typ, co nocą przysięga dozgonną miłość, a rano już o tym nie pamięta.

Liberty nie miała pojęcia, skąd o tym wie, ale była pewna, że tak jest naprawdę.

- Nad czym się znowu zastanawiasz? - spytał Carter, który bacznie ją obserwował.

- Dobrze mi z tobą, tylko strasznie się boję, że to się może skończyć.

- Nie skończy się - zapewnił. - Przepraszam, że o tym mówię, ale miałem w życiu mnóstwo kobiet i żadnej się nie oświadczyłem, żadnej, nawet przypadkiem, nie powiedziałem, że ją kocham, ale z tobą to zupełnie co innego. Uwielbiam cię taką, jaka jesteś. Chcę, żebyś co rano budziła się przy mnie z potarganymi włosami i rozspanym spojrzeniem. O tym możesz myśleć bez przerwy. Myśl tak długo, aż ci się to w końcu wbije w głowę, aż wreszcie we mnie uwierzysz.

- To takie proste, kiedy o tym mówisz - westchnęła Liberty.

- Bo to jest proste. Tak, wiem, nie dla ciebie, ale i to się niedługo zmieni. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. - Uwierz mi na słowo, kochanie. Będę wiedział, kiedy to się stanie.

Mijały dni i tygodnie pełne nowych doświadczeń i nieznanymi dotąd emocji.

Liberty przedstawiła Cartera ojcu i Joan. Obaj panowie od razu znaleźli wspólny język. Liberty nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ci dwaj mężczyźni znają ją i rozumieją lepiej niż ona sama.

Carter był przy niej podczas ślubu doktora Foxa z Joan. Trzymał ją za rękę, mówił same miłe rzeczy i zapewniał o swojej miłości. Jakby wiedział, że - zupełnie bez sensu, bez żadnego powodu - nagle poczuła się samotna i opuszczona przez wszystkich.

Zebrała się nawet na odwagę i zabrała Cartera ze sobą na spotkanie z Mirandą. Nie wiedziała, czego się po tym spotkaniu spodziewać, ale na pewno nie spodziewała się niczego dobrego. Tymczasem Carter, chociaż był bardzo miły, ale jasno dał do zrozumienia przyszłej teściowej, co może, a czego absolutnie jej nie wolno. Po raz pierwszy w życiu Liberty nie czuła się nic niewarta po spotkaniu ze swoją matką.

- Wiem, że ta kobieta jest twoją matką, ponieważ cię urodziła - odezwał się Carter, kiedy szli zaśnieżoną ulicą do najbliższej restauracji - ale poza tym nie masz z nią nic wspólnego. Nie widzę ani cienia podobieństwa. Ani fizycznego, ani żadnego innego.

To wystarczyło, żeby uszczęśliwić Liberty. Teraz już zawsze zabierała ze sobą Cartera, kiedy musiała odwiedzić matkę. Z podziwem patrzyła, jak doskonale sobie z nią radził, jak nie pozwalał powiedzieć złego słowa o ojcu Liberty i dusił w zarodku wszelkie krytyczne uwagi pod adresem jej samej, co Miranda dotąd robiła z wielkim upodobaniem.

Carter i Liberty spotykali się teraz codziennie. Bywali w restauracjach, w kinach i teatrach, chodzili na spacer, rozmawiali, śmiali się i żartowali. Liberty z nikim nie czuła się tak dobrze i bezpiecznie jak z Carterem. No, może prócz swojego taty, ale ten był już od jakiegoś czasu zajęty.

Wielkimi krokami zbliżał się wyznaczony na pierwszy dzień maja ślub Jennifer i Adama. Trzeba było kupić sukienkę i dodatki, więc Jennifer poprosiła Liberty, żeby razem z nią wybrała się po zakupy. Nawet udało jej się namówić Liberty do przymierzenia jednej ze ślubnych sukienek. To było niesamowite przeżycie. W prześlicznej pianie białych koronek i tiulów Liberty wyglądała jak królewna z pięknej bajki. Łzy zakręciły jej się w oczach.

- Ty i Carter będziecie następną parą - orzekła Jennifer. - Jeszcze wspomnisz sobie moje słowa, Libby.

Liberty skwitowała tę uwagę uśmiechem, ale wieczorem, kiedy już była sama,

po raz pierwszy od wielu tygodni zaczęła się poważnie zastanawiać.

Już nie wątpiła, że bardzo kocha Cartera, a jednak myśl o ślubie nadal ją przerażała. Małżeństwo - była o tym przekonana - to coś takiego, co musi, po prostu musi się nie udać.

Kilka razy nawet wspomniała mu o tym, że gdyby chciał, to mogą zamieszkać razem, żyć jak mąż z żoną w każdym znaczeniu tego określenia, byleby nie trzeba było dopełniać formalności. Carter był nieugięty. Uważał, że wszystko albo nic. Taki już był.

Liberty czasami nawet się zastanawiała, kiedy będzie miał dość tej sytuacji, kiedy ją wreszcie zostawi. Nie zostawiał. Najwyraźniej rzeczywiście ją kochał. Chciał mieć żonę i dzieci. Tłumaczył Liberty, że nie zamierzał do końca życia pozostać kawalerem. Owszem, z początku nie miał na nic czasu.

- A potem poznałem ciebie - powiedział, spoglądając na nią z czułością - i wszystko się odmieniło.

- A więc gdybyś mnie poznał wcześniej, to pewnie byś mnie nawet nie zauważył.

- Nie wiem. Byłem zdecydowany zarobić dużo pieniędzy i marzyłem o niezależności. Nie chciałem nikomu nic zawdzięczać. Może rozpoznałbym diament lśniący pomiędzy szkiełkami, ale zapewnić cię o tym nie mogę.

- Przepraszam - mruknęła Liberty, bo wstyd jej się zrobiło, że go tak co jakiś czas zaczepia i zadaje podchwytliwe pytania.

- Nie szkodzi. - Carter się uśmiechnął. - Wiem, że jest ci ciężko, ale musisz zrozumieć, że nie każdy związek kończy się zdradą, nie każde małżeństwo rozwodem. Większość ludzi wychowuje dzieci w normalnych szczęśliwych rodzinach, razem się starzeją i patrzą, jak rosną ich wnuki. I ja takiej rodziny chcę dla nas. Już teraz mogę ci obiecać, że nie opuszczę cię aż do śmierci. Potem nie wiem - wzruszył ramionami. - Trzeba się będzie przekonać.

- A jeśli się okaże, że nie będę mogła mieć dzieci, to co wtedy?

- A co ma być? Pomartwimy się trochę, a potem będziemy żyć dalej. Chcę mieć ciebie. Chcę cię mieć przy sobie na zawsze, i tylko to się liczy. To my jesteśmy ważni, ty i ja.

Na wszystko miał odpowiedź. Już nawet przestało ją to irytować.

Przygotowania do ślubu Jennifer i Adama dobitnie przekonały Liberty, że ona sama nigdy się nie odważy pójść do ołtarza. Wszystko, co siostrze Cartera sprawiało wielką przyjemność, Liberty dosłownie przerażało.

Wprawdzie ślub miał być skromny, cały orszak razem z panną młodą i narzeczonym liczył zaledwie dwanaście osób, ale i tak należało zamówić salę na obiad weselny, kwiaty do dekoracji kościoła i załatwić mnóstwo innych drobiazgów, których Liberty nigdy nie byłaby w stanie spamiętać.

Na dzień przed ceremonią w niewielkim londyńskim kościółku odbyła się próba generalna. Jennifer była radosna i podekscytowana, rodzice Cartera szczęśliwi, dumna jak paw matka Adama, którego ojciec przed wielu laty zniknął gdzieś bez wieści, nie posiadała się z radości. Nawet dwie starsze panie, przystrajające ołtarz świeżymi kwiatami, uśmiechały się promiennie. Tylko Liberty była nieszczęśliwa, a i Carter miał o jeden powód do radości za mało.

W ogóle od kilku dni był jakiś nieswój. Liberty nawet się zastanawiała, czy coś mu nie dolega. Nadal był czuły i uważający, tylko czasami się zamyślał, jakby prócz spotkań z nią miał jeszcze coś bardzo ważnego na głowie. W końcu odważyła się zapytać, czy może mu jakoś pomóc, ale zapewnił ją, że wszystko jest w porządku i - czego jak czego - ale żadnej pomocy na pewno nie potrzebuje.

A więc sprawa była jasna: miał jej dosyć, tylko nie chciał tego powiedzieć przed ślubem Jennifer. Liberty też wolała o tym teraz nie myśleć. Niedobrze jej się robiło na myśl, że mogłaby stracić Cartera, nigdy więcej go już nie zobaczyć.

Carter wziął ją za rękę.

- Denerwujesz się? - zapytał.

Skinęła głową, bo bała się odezwać, żeby nie wydało się, jak okropnie się boi.

- To dobrze - Carter się ucieszył. - Ktoś powinien się denerwować, bo Jen, jak widać, doskonale się bawi. Nie może się doczekać, kiedy wreszcie stanie na ślubnym kobiercu.

- Będzie pięknie wyglądała w tej sukni - powiedziała cichutko Liberty.

- Adam uznałby, że wygląda pięknie, nawet gdyby przyszła na swój ślub w podartym worku. - Carter roześmiał się cichutko. - No i dobrze. Tak właśnie powinno być.

- Pewnie znowu masz rację - tym razem Liberty udało się uśmiechnąć. - Ale ty im dałeś wspaniały prezent.

Carter pokrył wszystkie koszty uroczystości, przyjęcia oraz podróży poślubnej, dzięki czemu Jennifer mogła mieć taki ślub, jaki sobie wymarzyła.

- Toż to moja mała siostrzyczka - powiedział Carter tak zwyczajnie, jakby rzeczywiście chodziło o jakiś drobiazg. - Zresztą czekaliśmy na ten dzień ponad dziesięć lat, więc trzeba go jakoś uczcić.

Liberty obudziła się o pierwszym brzasku. Dzień był piękny, prawdziwie wiosenny. Doskonały dzień na zawarcie małżeństwa.

Ceremonię zaplanowano na dwunastą w południe. O dziewiątej Liberty miała pojechać do domu Cartera i pomóc Jennifer dopiąć wszystko na ostami guzik. Dosłownie. Ktoś przecież musiał zapiąć ślubną suknię.

Kiedy tuż przed dziewiątą zapukano do drzwi, Liberty była już gotowa do wyjścia. Lubiła zawsze zrobić wszystko przed czasem, zwłaszcza w takim ważnym dniu jak ten.

Otworzyła drzwi i oniemiała. Zamiast taksówkarza w progu stał Carter we własnej osobie.

- Witaj, moja śliczna - powiedział.

- Carter? - przeraziła się Liberty. - Skąd ty się tutaj wziąłeś. Coś nie w porządku z Jen? Co się stało?

- Nic się nie stało - uśmiechnął się promiennie.

- Czy mogę wejść?

- Oczywiście - wpuściła go do domu, starannie zamknęła drzwi. - O co chodzi? Miała przyjechać taksówka.

- Nie miała. - Carter pokręcił głową. - Powiedziałem ci, że nie przyjedzie.

- Nie rozumiem. - Coś było nie tak. Liberty czuła przez skórę, że zanoszą się na poważne kłopoty.

- Kochanie moje. - Carter przyklęknął na jedno kolano, wyjął z kieszeni małe pudełeczko - czy zechcesz zostać moją żoną? Dzisiaj?

- Ja... - Nogi się pod nią ugięły.

Oparła się plecami o drzwi, żeby się nie przewrócić.

- To nie jest nic trudnego. - Uśmiechał się, ale mniej pewnie niż zazwyczaj. - Chcę, żebyśmy się pobrali. Wiem, że ty też tego chcesz, i wiem, że gdybym miał to zrobić w sposób bardziej konwencjonalny, to pewnie nigdy bym cię nie poprowadził do ołtarza. A tak, nie masz czasu się denerwować i raczej nie uciekniesz ode mnie w ostatniej chwili. Wystarczy, że się zgodzisz.

Otworzył pudełko. Był tam piękny złoty pierścionek z rubinem i perłami. Gdyby Liberty miała jakikolwiek wybór, właśnie taki pierścionek by sobie wymarzyła, więc to nie mogła być prawda. To wszystko tylko jej się przyśniło.

- W samochodzie mam swój garnitur, twoją sukienkę, welon, pantofelki i wszystko, czego potrzebuje panna młoda - mówił Carter. Brzmiało to dość sensownie, całkiem inaczej niż we śnie. - Pomogę ci się ubrać, a ty mi zawiążesz krawat. Tak, wiem, to trochę dziwne, ale przecież my nigdy nie byliśmy zwyczajną parą i pewnie już nigdy nie będziemy.

- Ale ja... - Liberty próbowała protestować.

- To ta sama sukienka, którą mierzyłaś w sklepie. - Carter od razu się domyślił, jakie wątpliwości może mieć jego przyszła żona. - Pantofle i twój bukiet ja sam wybierałem. Powiedz „tak”, a nie puszczę cię od siebie na krok, póki ci nie założę obrączki przed ołtarzem. Zostaniesz moją żoną, Liberty? Czy będziesz mnie chciała

kochać, urodzić nasze dzieci i zestarzeć się u mego boku?

- Tak - powiedziała.

Okazało się, że to nic trudnego.

Kolejne co najmniej pół godziny zajęły im pocałunki, pieszczoty i czule szep-
tane wyznania miłości. Nagle Liberty coś sobie przypomniała.

- A Jennifer i Adam! - zawołała. - To ich dzień. Nie możemy im zepsuć świę-
ta.

- Nie zepsujemy - Carter uśmiechał się od ucha do ucha. - Weźmiemy ślub
przed nimi.

- Ale czy oni się zgodzą?

- Czy się zgodzą? - powtórzył. - Chyba by się oboje załamali, gdybyś mi od-
mówiła. Jen przez całą noc nie zmrużyła oka. Kazała ci powiedzieć, że jeśli w dniu
swego ślubu będzie wyglądała jak upiór, to tylko i wyłącznie z twojej winy.

- Jakim cudem? Kiedy...

- Jak byliśmy ostatnio u moich rodziców, wyglądałaś jakoś inaczej niż zwykle
i inaczej na mnie parzyłaś. Zrozumiałem, że wreszcie jesteś gotowa.

- Skąd wiedziałeś?

- Po prostu wiedziałem. - Carter lekko wzruszył ramionami. - A przy tym
miałem świadomość, że nie mam żadnych szans namówić cię na tradycyjną cere-
monię. Pogadałem sobie z siostrą i przyszłym szwagrem, a potem wszyscy troje
omówiliśmy sprawę z pastorem. Zgodził się. My staniemy przed ołtarzem w połu-
dnie, a Jen z Adamem godzinę później.

- Ale trzeba przecież zgromadzić dokumenty...

- Z tym nie było żadnego problemu. Po co człowiekowi pieniądze, jeśli nie
potrafi ich dobrze wykorzystać?

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz mi, kochanie - Carter ją do siebie przytulił tak mocno, że ledwo mo-
gła oddychać. - Dziś po południu już będziesz panią Blake.

- A tata? - Przypomniała sobie Liberty.

- W gotowości bojowej. - Carter się roześmiał. - On też się nie może doczekać. Zrobił mi listę osób, które chciałabyś zaprosić na wesele, więc nie zdziw się, że na przyjęcie przyjdzie więcej gości, niż było w planie. Zwłaszcza że Jennifer skorzystała z okazji i dopisała jeszcze kilkoro znajomych. Dyrekcję hotelu też jesteśmy uszczęśliwili. Zamiast małej salki wynajmą nam salę balową i zrobią huczne przyjęcie na dwieście osób.

- Więc to będzie prawdziwy ślub? - dopiero teraz zaczęła się denerwować.

- Najprawdziwszy, pod warunkiem że zrobisz mi śniadanie. - Carter wiedział, jak może ją uspokoić. - Jestem głodny jak wilk. Ty idź do kuchni, a ja zadzwonię do Jen i powiem, że „orzeł wylądował”. Zobaczysz, będzie wniebowzięta.

Liberty przygotowała tosty z masłem i dżemem, do tego kawę z mlekiem. Dopiero gdy śniadanie dobiegało końca przypomniała sobie jeszcze jeden problem.

- Czy zawiadomiłeś o tym moją mamę? - spytała.

- Jeszcze nie zwariowałem. Miranda pojechała do Monako w towarzystwie kandydata na męża numer sześć. Założę się, o co chcesz, że gdyby miała wybierać, czy będzie na twoim ślubie, czy zatrzaśnie pułapkę za tym biednym człowiekiem, którego omotała, na pewno zdecydowałyby się na to drugie.

- Będzie wściekła. - Liberty się uśmiechnęła. - Zwłaszcza że tata o wszystkim wiedział, a ona nie.

- A kogo to obchodzi? - Znów wzruszył ramionami. - Nie pozwoliłbym, żeby cię zdenerwowała i zepsuła humor twojemu tacie.

Liberty wpatrywała się w niego jak urzeczona. Ze wszystkim sobie radził. Nawet Mirandę zmusił, żeby mu jadła z ręki. Absolutnie wyjątkowy człowiek.

Potem Carter przyniósł z samochodu ich ślubne stroje i bukiet panny młodej. A kiedy oboje byli już gotowi do wyjścia, wyjął z kieszeni małe podłużne pudełko.

- Czy dzisiaj zechcesz to założyć? - spytał.

W pudełku leżała diamentowa bransoletka, ta sama, której Liberty nie chciała

przyjął kilka miesięcy wcześniej.

- Dzisiaj tak - uśmiechnęła się i zarzuciła mu ręce na szyję. Dziś wszystko było inne, bo świat gwałtownie zmienił się na lepsze. - Dziękuję ci. Bardzo dziękuję.

- No to jeszcze i to. Do kompletu. - Uśmiechnął się odrobinę zakłopotany i z drugiej kieszeni wyjął pudełko zawierające diamentowy naszyjnik i klipsy.

- Przepiękne - szepnęła wzruszona Liberty. - Dziękuję. Z całego serca dziękuję.

Nareszcie zrozumiała, ile dla niego znaczyło, że może jej dać piękny prezent.

- I nic więcej mi nie powiesz? - zapytał z kpiącą miną. - Nic w rodzaju: „nie trzeba było, Carter”, albo „to całkiem niepotrzebne”?

- Nic - zapewniła. - W dniu ślubu to nawet nie wypada.

